



# BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC.

**Prenumerata w Warszawie:**

We wszystkich księgarniach i kantorach pisma peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60; rocznie rub. 7 kop. 20; z 20 tomami rub. 9 kop. 20, w oprawie rub. 12 kop. 20. Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 1<sup>o</sup>, kwartalnie rub. 2 kop. 50, z 20 tomami rub. 13 kop. 20, w oprawie rub. 16 kop. 20. Cena numeru pojedynczego kop. 60.

Pod kierunkiem literackim  
**Zofii Seidlerowej.**

*Ekspedycja Główna ulica Nowy-Swiat Nr. 41.*

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszczu” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego”: w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk., z przesyłką pocztową 4,30.

## Wczoraj i dziś.

Ubiegłe dwa lata przerzucały nas tak nagle od najróżowszych nadziei, do najciemniejszych rozczerowań, że obecnie, myśląc o przyszłości, znajdujemy się w położeniu wędrowca, który w pełnej wrażeń podróży, zmylił rachubę czasu. Wybrawszy się z bagażem odpowiednim do letniej pory, zaskoczony został niespodzianie przez zimę, i nie wie, co mu dalej czynić wypada: czy wracać do domu i wybrać się ponownie, zaopatrzony do ostrej pory, czyli też iść dalej, licząc na zmianę pogody.

Zdaje się, że kwestya naszego równouprawnienia politycznego, która nas w ostatnich czasach tak żywo zaprzętała, — stanie się obecnie owym letnim bagażem, który będzie zaniesiony do domu, aby tam łagodniejszej oczekiwał się pogody.

Wśród ciągle krzyżujących się prądów chwili, przywykliśmy do nagłych zmian i zwrotów i dlatego trudno nam jest dzisiaj stawiać jakiegokolwiek na przyszłość horoskopy. Widoznanem jest jednakże, że obecnie wstępujemy na czas dłuższy w znak martwoty politycznej i dlatego wszelkich głębiej sięgających zmian oczekiwać nam teraz trudno.

Nie idzie jednak za tem, byśmy ten okres uważali za jakiś martwy sezon w pracy wewnętrznej. Nie wstrzyma się w swym rozwoju żadne z zadań kulturalnych, tak szeroko u nas podjętych, nie wstrzyma się też w swym rozwoju i sprawa kobieca.

Gdy przystąpimy do zbilansowania ubiegłego okresu wstrząśnięć — owych dwóch lat burzliwych, — dojrzymy, że dla sprawy kobiecej porachunki te bynajmniej źle nie wypadają. Było to gwałtowne ocknienie, po którym nie zapada się już w letargiczny sen...

We wszystkich dążeniach szeroko zakreślonych, nie można poprzestawać jedynie na obliczaniu dotykanych zdobyczy, lecz trzeba brać również w rachubę te wszystkie korzyści, jakie dana sprawa osiąga na polu rozwoju ideowego. Te korzyści nie są dotykane, ale są niemniej zupełnie realne.

Otóż podczas tego krótkiego okresu przejściowego pod względem ideowym zrobiono dla sprawy kobiecej wszystko, co się zrobić dało. Poruszyło się umysły, rozbudziło się w społeczeństwie poczucie, że kobiecie, jako czynnej sile społecznej, należy się prawo nieczem nie krępowanego rozwoju, uświadomiło się setki kobiet, co do praw, które im się należą i o które walczyć powinny. Manifestowano dążenia kobiece na rozmaite sposoby; urządzano wiece, konferencye, przemawiano zbiorowo do przedstawicielstwa narodu. Zawrzały nawet utarczki o środki działania, zarysowały się przeciwieństwa i różnice poglądów na kierunki wiodące do celu, sam cel jednakże łączył wszystkie działaczki, a starcie zdań było tylko dowodem gorącego ożywienia, jakie wśród umysłów kobiecych zapłonęło.

Obecnie, jak się wyżej rzekło, ruch kobiecy wejść musi w inną fazę, a okres ten możemy uważać jako przygotowawczy. Trzeba się przygotowywać do dalekiej, długiej, zimowej drogi.

Należy nam teraz wniknąć w siebie, zmierzyć zasoby sił jakie posiadamy, poddać samokrytyce naszą jakość umysłową i zbadać warunki, w których tę jakość podnosić i ulepszyć mamy. W takim przeglądzie uwidoczni się nam najpierw trudność zdobywania nauki w szerszym, niż dotąd zakresie.

Jeden z najważniejszych postulatów naszych, podniesienie wykształcenia kobiet, splata się obecnie z ogólną kwestyą unarodowienia naszych szkół. Sprawy te, wraz z wielu innymi, niemniej ważnymi, muszą czekać peknienia lodów, wiosny, słowem, jakichś przyjaznych okoliczności, któreby rozkruszyły tę skorupę martwoty, obecnie normalny bieg wszech rzeczy tamującą. Gdy jednak kiedyś ta oczekiwana chwila nadejdzie, powinniśmy wystąpić z żądaniem, aby wszystkie nasze wyższe uczelnie dostępne były dla kobiet.

Tymczasowo muszą nam wystarczyć rozmaite prowizoryczne instytucje kształcące, wyższe kursy naukowe, kursy przygotowawcze z programem gimnazyów męzkich, wykłady pedagogiczne i t. d.

Naszych prowizorycznych uniwersytetów lekceważyć nam nie należy. Komu środki

nie pozwalają na pobyt w galicyjskich stolicach, ten może korzystać z wykładów, organizowanych przez Towarzystwo kursów naukowych, a umysł swój wzbogaci w cenne nabytki wiedzy. Na brak pierwszorzędných sił naukowych Warszawa skarżyć się nie może.

Tylko nasze nienormalne warunki sprawiają, że ludzie, którzy gdzieindziej zajmowałiby pierwszorzędne katedry uniwersyteckie, u nas poprzestawać muszą na dawaniu lekcji prywatnych, obecnie zaś niosą swą wiedzę na usługi instytucji, przez społeczeństwo zapoczątkowanej.

Zanosi się na to, że kobiety pracujące ręcznie szybciej w sferze swego wykształcenia równouprawnione będą; potrzeba szkół zawodowych dla kobiet jest u nas ogólnie uznana i dzisiaj już wyraźny na tej drodze postęp się zaznacza. Jako dowód przytoczyć tu możemy fakty, że świeżo założona szkoła rzemieślnicza P. M. S., zapoczątkowała jeden oddział dla kobiet pracujących w warsztatach i pracowniach konfekcyjnych. Jest to zaledwie skromny początek, ale notujemy go skwapliwie, jako pierwszy krok w pożądanym kierunku. Zawodowe związki, których coraz więcej powstaje, powinny gorliwie sprawę fachowej nauki kobiet popierać. Umożliwi nie wszystkim kobietom odpowiedniego ich powołaniu wykształcenia, stanie się zapewne pierwszą troską naszego ruchu kobiecego w dobie obecnej.

Ubiegły okres przełomowy, chociaż nie dotrzymał tego, co zdawał się zapowiadać, wykażal nam jednak pewne ramy, niby wyręby w gąszczach leśnych, w których, pomimo szczupłej przestrzeni, poruszać się jednak można.

Takim leśnym wyrębem, taką nowo otwartą polanką, jest prawo stowarzyszeń. W tym zakresie dużo zrobić można i trzeba. Praca w stowarzyszeniach będzie dla nas szkołą życia społecznego, ona nam da poczucie łączności i solidarności, wyrobi w nas pewne przyzwyczajenia karności i obowiązkowości, zmysł ładu i organizacji. Są to w ogóle przymioty bardzo cenne, a u nas niezmiernie rzadkie; trochę temu winien charakter narodowy, skrajnie indywidualistyczny, więcej zaś może tryb życia dotychczasowego, zamkniętego wyłącz-

nie w kole interesów i obowiązków prywatnych.

Wyjście z tego ciasnego koła własnych spraw i kłopotów powszednich, umiejętność pogodzenia obowiązków domowych z obowiązkami publicznymi i oryentowania się w złożonych stosunkach życia społecznego, to będzie pierwszym naszym egzaminem do zdobycia patentu dojrzałości duchowej.

Ogółowi nie wystarcza świadomość, że my posiadamy siłę; ta siła się teraz przedstawia chaotycznie i bardzo niejednolicie, a jako taka, przynajmniej to szczerze, przedstawia materiał wątpliwej wartości. Dopiero siła zorganizowana, a co najważniejsza, do organizacji podatna, stanowi materiał cenny, z którym architekci przyszłych reform poważnie liczyć się będą.

Ów szczęśliwy krzyk północy, na który z wielu względów z zazdrością spoglądamy, może w tej mierze być dla nas typowym przykładem.

Na długo przed ostatecznym zatwierdzeniem kobiecych praw politycznych, kobiety w Finlandyi wyjednaly sobie dostęp do wszystkich źródeł nauki, korzystały z nich gorliwie, a następnie zasoby zdobytej wiedzy z odsetkami ojezyźnie oddawały. Było ich pełno na uniwersytetach, w urzędach krajowych, w instytucjach oświatowych i kulturalnych, słowem na wszystkich placówkach pracy obywatelskiej, i kraj tak silną miał dźwignię w pracy kobiet, ludność jego tak przywykła liczyć się z inteligencją kobietą, jako z siłą rzetelnie wartościową, że gdy przyszło do rdzennych zmian w organizacji przedstawicielstwa narodowego, pominięcie kobiety wydało się rzeczą zupełnie niemożliwą i niedopuszczalną.

Otóż i my starajmy się zostać takim cennym materiałem budowlanym dla przyszłości, bądźmy siłą zrównoważoną, do organizacji się nadającą, a wtedy możemy oczekiwać, że przy pierwszej przebudowie społecznej, jako czynnik doniosłego znaczenia ocenione, i do wszystkich praw obywatelskich dopuszczalne będziemy.

Z. Brelicka.

## Pieśń o doli.

Choć rany serca bołą,  
Witam cię chlebem, solą,  
Spłononą wiodę w tanek.

Któż da nam kraśny wianek  
Serdeczna moja dolo?

Muzyka! rznij od ucha!  
Niech cały świat posłucha,  
Że grają jak w kościele  
Na pogrzeb? — na wesele? —  
Serdeczna moja dolo...

Rozsuńmy w pobok ławy,  
Niech wnijdzie, kto ciekawy,

Niech cały świat popatrzy,  
Że tańczę coraz bladszy  
A padnę krwawy.

Wyzywasz mnie oczyma?  
Obaczmy, kto przetrzyma,  
Kto rychlej zejdzie z pola,  
Czy ja, czy ty — ma dola  
Serdeczna...

Nim siwy błysnie ranek,  
Ktoś pójdzie z śmiercią w tanek,  
Ktoś cicho się położy  
W ziemi święconej, bożej,  
Serdeczna moja dolo.

Hej tańczmy, a ochoczo,  
Niech wina nam utoczą,  
Niech kołacz kraja świeży...  
Już północ bije z wieży  
Serdeczna moja dolo.

Bładaś mi w tej sukience,  
Jak zimne twoje ręce,  
Jak we łzach oczy mokną; —  
O, nie patrz tam, za okno,  
Serdeczna moja dolo.

Hej! komu to grabarzu,  
Grób kopiesz na cmentarzu?  
— Dla ciebie, jasny panie,  
Na jutrznię, na świtanie,  
Nieszczęsna twoja dola.

Czas płynie, mrok ucieka,  
Jutrzienka niedaleka.  
Już mdleje we mnie serce,  
Podsujące w czas kobierce; —  
Serdeczna moja dolo...

Już drugie kury pieją.  
Ostatnia ma nadziejo...  
Hej! żwawo raz dokoła,  
Nim śmierć nas w tan zawoła,  
Serdeczna moja dolo!

Świt się przez okna wciska,  
Jak ta komnata nizka...  
Trzy deski w tej komnacie;  
— A lepszej to nie macie  
Ojeże grabarzu?

Ktoś modli się, ktoś szepce,  
Jak duszno w tej izdebce...  
Któż da nam kraśny wianek,  
Kto nas powiedzie w tanek  
Serdeczna moja dolo?

Stefania Podhorska-Okolów.

Nalęczów, 22. VII. 1997.

## MARION. CHWILA.

(Dokończenie).

III.

Maj opromienił skwery miejskie, zahaftował trawniki barwami. Z krzewów wychylały się różowe pączki, niby zaciekawione z nieprzemóżonej chęci obejrzenia tego świata. Po wczorajszym deszczu zostały kałuże; tłuste, lepkie żaby gramoliły się po nich, chlup! dawały nurka w trawę, otrząsając całe potopy pereł. Długie biczyśka lip, ustrojone w krople tęcze, wisiały nad ławką...

Ciepło było, wilgotno, świeżo.

Żelski drugą godzinę już siedział na ławce. Koło niego przepływały codzienne fale adwokaci do sądów, panie na spacer. Co chwila oddawał ukłony. Patrzano ze zdziwieniem. On na skwerze o tej porze? Tego nigdy nie było jeszcze... a tu każdy wie, co bliźni jego o tej porze czynić zwykł od lat niepamiętnych. Gdyby umarł w nieodpowiedniej godzinie — i tegoby mu nie wybaczone... Czas zakrzepł wkoło tych ludzi, nie się tu nie staje i nie zmienia. Prowincya...

Naraz przypomniał sobie Gabrysia.

Ach, tak, dzieciaki!... Dorosli żyli sobie spokojnie, szli po matematycznie wykreślonej linii, aż tu grono młokosów wyważy bieg życia z szyn. Pod ziemią tliła się pożoga, dojrzał świat nowych dusz, a myśmy nic nie wiedzieli. I biedny Chmurczyk senior osłupiał, z kądem na niego taka klęska...

„Wolność... równość... braterstwo...”

Żelski uśmiechnął się pobłaźliwie. Bawił się i on w ideały na uniwersytecie... już dawno... Wtedy umiał się najzupełniej bezinteresownie kochać w pannie Leonii i przegadawszy noc całą na meetingach, galopować rankiem po przez całe miasto, aby spojrzeć w „jej“ okno. Ideały... młodość... Boże...

Utkwił wzrok w ziemi. Między trawą poruszał się niedołącznie świeżo wykluty chrabaszcz. Rozwijał nieśmiało skrzydła, próbował lotu. Już, już miał pofrunąć. Wtem nadleciał wróbel i porwał go. Przytłaczając do ziemi, rozdzierał go żywcem, czynił to tak zabawnie, tak mile kręcił zgrabnym łebkiem, że Żelski nie mógł się wstrzymać od uśmiechu.

Nasycił się wreszcie i kołysząc okrągłym kadłubem, skakał dalej. Krzaki poruszyły się zdradziecko, ale on tego nie słyszał, oddany rozkoszy trawienia.

Wielki, bury kot o płonących ślepiach, przeslizgiwał się trop w trop za nim... Przyczaił się, wygiął grzbiet łukowato i spadł nagle, jak kula. Wróbel nie zdążył nawet pisnąć. Żelski odruchowo podniósł łaskę, aby przepędzić kota, ale się wnet wstrzymał: po co?

— Oto jest wewnętrzny sens życia i tajemnica przeznaczenia...

Kot schrupał z apetytem ofiarę i oglądał się za nową. Rozciągnął się na piasku, wyginał szyję przedziwnie miękkim ruchem i skłaniał łebek, jakby prosząc o pieczętę. Oczy mrużyły mu się z rozkoszy.

Nagle zerwał się, dał susa, skoczył na drzewo, tuż nad głową Żelskiego, parsknął dziko, jak oparzony. Z gąszczów wypadł piękny, biały wyżeł. Pobiegł wprost do adwokata i zaczął się łasić.

„Alma“ Gabryśia Chmurczyca.

Zwierzęwszy kota, pies usiłował wspiąć się na drzewo, szczeakał głośno. Raz po raz przyskakiwał do człowieka, szarpał go, jakby mówił: „ty mi dopomóż!..“

Żelski obserwował ciągle. Nie poruszał się... na ustach osiadł mu uśmiech... Uśmiech ten był smutny, poważnie mądry?... I widać było, że kto się tak uśmiecha, żegnać się musi z życiem, bo przeniknął wszystko naprzód i z góry.

„Alma“ zrezygnowała wreszcie, odstąpiła od drzewa, natomiast z radosnem szczeakiem rzuciła się na czyjeś spotkanie.

Krótką suknią, biały beret; zgrabne, nieco obłoczone buciki... Idzie od niej świeżość... coś wieczyście, niewyczerpalnie nowego, miłego... Rzuca na niego kwiatami, całą więzią rozsypanych kwiatów. Złotolite, świeżo zerwane kaczęce.

— Przyszłam pieszo, przez łąki... Gabryś mi towarzyszył, wyprawiwszy i odebrawszy uprzednio trzy gołębie, co znaczy: „droga wolna.“

Rzuciła się na ławkę, obu garściami odsuwała włosy z czoła.

— Cóż za piękny dzień! Wszystko woła na mnie: „Życie! życie!..“

Żelski podniósł oczy.

— A mnie się zdawało, na chwilę przed przybyciem pani, że z tego morza rozkwitłej zieleni wychyla się twarz skrzywiona szydersko... chichoce... chichoce...

Jakby w sen jakiś magnetyczny, jakby w głąb duszy własnej wpatrzony, kończył szeptem:

— Wszystko się żre... wszystko się pożera w naturze. I wobec tej walki powszechnej, cóż my...

Rysia patrzyła na niego i jakiś cień posępny napływał na jej wiośniane policzki.

— Zachmurzyłem panią... to źle...

— Jestem bardzo wrażliwa.

— Wiem o tem. I rozmarzona, prawda? i ufna...

Uśmiechnął się.

„Po morzu prób, po życiu pracy, przyjdzie zachód pogodny i zasłużony.“

Rysia, lekkim, swawolnym tonem, nie mogąc jednak stłumić jakichś wybuchów namiętnych, wydzierających się po przez żart, dokończyła:

— I wtedy przyjdzie do mnie *on*, ten mój wybrany, i ręce, dotąd złączone we wspólnej pracy, podamy sobie „odtąd i na wieki“—na sen o szczęściu.

Stała z rozchylonemi ustami, cała poddana naprzód, uduchowiona. Z oczu jej zdawały się odrywać błyski, lecieć w przestrzeń, rozświetlać ziemię.

Żelski patrzył w nią, jak w tęczę.

Raptem osunął się na ławkę, prawie do nóg jej. Podniósł na nią oczy zebrzące, lecz skamieniałe w stanowczości. Uśmiech z poza życia... Z mieszaniną żarliwości i pokory wyszeptał:

— Nie jestem godzien...

Rysia odstąpiła. Wargi jej pobladły. Zda wało się, że zbierze kwiaty i odejdzie zaraz, już bez pożegnania. Żelski przytknął powieki i czekał, jak ciosu...

Nagle uczył kwiaty na kolanach, dużo, dużo kwiatów. Świeże, wiosenne kaczęce, pachnące łąkami, mówiące o wiosnie, młodości i życiu.

— To za Rogozika...— rzekła Rysia z rozdzierającym uśmiechem.

Odchodziła z wolna, „Alma“ biegła za nią. Przystanąła na chwilę, poprawiła obrozę psu i szła dalej. Znikła na zakręcie.

Żelski patrzył, póki ją widać było. Jak muzyka, jak niewypowiedziane piękna melodia, ozwało się wspomnienie wieczoru, skapanego w deszczu gwiazd kolorowych. Zapalało i zgasło...

Usiadł, kreślił laską jakieś figury po piasku. Linie plątały się bezładnie... wykwił z nich jakiś profil dziewczęcy, potem główki dzieciinne... drobne, szczebiocące główki... Ha, ha! „Po morzu prób i życiu pracy!..“

Zatarł wszystko nerwowo.

Na zegarze miejscowym wydzwoniła druga. Spojrzył na zegarek. Istotnie, już druga... Czas leci!..

\* \* \*

Powstał i poszedł. Na spacer z panią Komarską.



## Franciszek Dyonizy Książnin.

(W setną rocznicę zgonu pieśniarza-patryoty).



Ruch ogólnospołeczny w drugiej połowie XVIII-go wieku i równoległe z nim wzmagaająca się dążność do wykształcenia i oświaty, usiłowaniami komisji Edukacyjnej wspierana i wywoływana, stwarzały powoli coraz znośniejsze warunki dla piśmiennictwa polskiego. Czytelnictwo nie rozkwitało jeszcze, nie dosięgło wyższego stopnia rozwoju, ale bądź co bądź, stawało się powoli bodźcem dla twórców, wiadomo bowiem, że jedno ściśle łączy się z drugim—czytelnictwo z twórstwem—i jedno bez drugiego istniećby nie mogło; autorowie—prawda—nie mogli jeszcze w tym okresie rachować na to, aby z pracy swej osiągnęli korzyść materialną w postaci honoraryów, jak to dziś ma miejsce, ale za to w kraju, gdzie ruch artystyczno-literacki wzmagać się zaczął, nie brakło mecenasów, którzy chętnie wpływami swemi i kieszą usiłowania twórcze popierali.

Sam król Stanisław August, ów nieszczęsny sybaryta i samolub, jako miłośnik wszystkiego, co piękne, wielce się poezją i sztuką interesował, a dotrzymywali mu placu dzielnie dawni „magnates“ dawnej Rzeczypospolitej, Adam Czartoryski zaś—w pierwszym rzędzie. To też dwór tego ostatniego w Puławach, słynął jako ognisko ruchu umysłowego; tam grupowały się obok osoby samego księcia, który piórem władał nienajgorzej, najwybitniejsze postacie, najzdolniejsi przedstawiciele świata literackiego i po War-

szawie—Puławy niezaprzeczenie były miejscem, do którego podążali pisarze ze wszystkich stron Polski.

Ogół poetów ówczesnych i pisarzy tej smutnej epoki Stanisławowskiej, dzielił historycy literatury na dwie grupy: jedna z nich wyobrażała rozsądek, druga—uczucie w literaturze. Mają te dwie grupy wspólne cechy, wspólne, że się tak wyrazimy, spoidła, łączące je pomiędzy sobą, ale szukając pomysłów w literaturze rzymskiej i w humanizmie wieku XVI-go, formę zaś wzorując na literaturze francuskiej—obie te grupy odmiennymi drogami podążają do swych celów: pierwsza walczy jasnością, trzeźwością, rozważą i ubiera to w szatę dydaktyczną lub satyryczną, druga—czułościowością i marzycielską, tęskną tkliwością, chce wyplenić „grubość i surowość sarmacką.“

Do pierwszej grupy należą: Krasicki, Naruszewicz, Trembecki i Węgierski; do drugiej—przedewszystkiem Franciszek Karpiński i młodszy znacznie od niego Franciszek Dyonizy Książnin.

Poeta melodyjczył wiersza miłujący nadewszystke, pragnący udoskonalać formę i w szacie barwnej i wykwiłtnej oddawać na sąd ogółu pieśni swe, zdobne w czyste i piękne kwiaty uczuć, pieśniarz sentymentalny, marzycielsko śniący o szczęściu, które nigdy nie stanie się jego udziałem i duch szlachetny, niesplamiony brudem, nieskalany kłamstwem, fałszem i schlebaniem próżności i słabości ludzkiej—oto czem był Książnin.

Urodzony w r. 1750-ym w Witebskiem, pochodził ze szlachty Smoleńskiej, z polskiej gałęzi rodu, który dał i Rosyi wybitnego pisarza tegoż nazwiska. Kształcił się u Jezuitów, sam nawet wstąpił do zakonu, ale ponieważ przy jego kasacie nie był jeszcze wyświęcony—wrócił do sukni świeckiej i świeckiego życia.

Pracował z początku w bibliotece Załuskich, a później jako sekretarz księcia Adama w Puławach, gdzie był też nauczycielem dzieci książęcych.

Kochał się nieszczęśliwie w księżniczce Maryi, swojej uczennicy i to uczucie ciche, skromne i czyste, a beznadziejne, było krynicą jego natchnień: z niej czerpał najobficiej i najczęściej.

Pisał dużo, bardzo dużo—i to od wczesnej młodości. Jego umysł, wykształcony na wzorach wyśmienitych, przetrawiający cudze pomysły w sposób umiejętny, umiał wyciągnąć z dzieł, na których wzorował się, naukę dla siebie, a poczucie rytmiki, smak wytworny i siła sentymentu, owe cenne, a tak ówczesnie rzadkie cechy, postawiłyby go niewątpliwie w szeregu najwybitniejszych twórców tamtej epoki, gdyby nie pewne ubóstwo treści i monotonia, jednostajnie prosta, nużąca motywów.

Świeżości, oryginalności nie wiele mamy w jego wierszach, z których najświeższe i najwybitniejsze są poezye uczuciowe, egzotyczne; z patryotycznych—„Do Ojczyzny“ jedno z pierwszych miejsc zajmuje; w ogóle zaś najpiękniejszą pieśnią jest „Matka-obywatelka,“ najpopularniejszą zaś była w swoim czasie „Oda do wásów.“

Mało znana, obca dzisiejszemu pokoleniu

i całkowicie zapomniana, zasługuje ta „Oda“ na przypomnienie; w żartobliwie-sentymentalnej formie potępia ona małpowanie zagranicy, zarzucenie starodawnego stroju i noszenia wąsów—odmianę dawnych zwyczajów na nowe: perukę i frak.

Oto ona:

„Ozdobo twarzy, pokrętno wasy!  
Powstaje na was ród zniewieścialsy;  
Dworują trefnie dziewcząt przekąsy,  
Śmiejąc się z dawnej Polaka chwały.

Gdy pałasz cudze mierzył granice  
A wzrok marsowy sercami władał,  
Ujmując wtenczas oczy kobiece,  
Bożek miłości na wąsach siadał.

Gdy młodzież popis czyniła w zbroi  
A mężstwem tchnęła twarz okazała,  
Glicera patrząc szepnęła Chloi:  
„Za was ten czarny — życiebym dała!“

Gdy nasz Czarniecki sływał żelazem  
I dla Ojczyzny krew swą poświęcał,  
Wszystkie go Polki wielbiły razem,  
A on tymczasem wąsa pokręcał.

Jana trzeciego gdy Wiedeń sławił,  
Głos był powszechny między Niemkami:  
„Oto bohater co nas wybawił!  
Jakże mu ładnie z temi wąsami!“

Smutne w narodzie dzisiaj odmiany!  
Rycerską twarzą Nice się brzydzi,  
A dla niej Kleant wódkami złany  
I z wąsów razem i z mężstwa szydzi.

Kogo wstyd matki, ojców i braci  
Niech się z swojego kraju natrzasa,  
Ja zaś z ojczyściej chlubny postaci,  
Żem jeszcze Polak — pokręcę wąsa!“

Poeta, umiający odczuć „smutne w narodzie odmiany,“ całą duszą szlachetną ubolewał nad nieszczęściami kraju i gorącym słowem starał się obudzić z uśpienia lepsze, jaśniejsze i czystsze instynkty.

Walczył ze śmiesznościami, potępiał słabość woli i próżności, wywoływał żal za minioną, jasną przeszłością, melodią wiersza nad wyraz muzycznego, trafiając nie tylko do uszu, ale i do serc współbraci.

A gdy w innych pieśniach swoich, tam, gdzie potrzeba, na żywsze słowo, na bardziej plastyczny obraz nie umiał się zdobyć, w tych gorąco odczuty odach patriotycznych („Do Ojczyzny“ i innych), wybuchał silnie niekiedy, nie szczędząc mocnych i dobitnych wyrazów:

„...Takeśmy podli, że nas bierze trwoga  
Błagać za nami zwróconego Boga...“

a dalej:

„...Gdziekolwiek świętej po was jeszcze sławy  
Nam się zostało (o bezczelne zbrodni!)  
Gładzim do szczętu sromotności sprawy,  
Wspomnienia nawet waszego nie godni...“

Ojczyzno! na cóż nam przeszyte mieczem  
Piersi otwierasz? my nie twoje dzieci,  
Straciwszy czułość, tam kajdany wleczem,  
Gdzie pędzi przemoc lub mamona świecił  
Oto na sam brzęk i krótki blask złota  
Troskliwem uchem czatuje niecnota!

Skądkolwiek chytra zabyśnie intryga  
Leci tam nędza i co urwać pragnie...  
Chęłpi się zdrada, że się gwałt podźwiga,  
Klaszcze mu podłość i kark jarzmu nagnie.  
Jakże się z twojej wydzwignąć ruiny  
Matko! takimi otoczona syny!

Prócz pieśni sentymentalnych i patryotycznych, stworzył Książnin sporo poemacików bądź żartobliwych, satyrycznych, jak np. wykończona i opracowana artystycznie „Babia góra,“ bądź pouczających, poważniejszych, bądź wreszcie okolicznościowych.

Próbował sił swoich i w dramacie: obok oryginalnych dzieł („Marynka,“ „Trzy gody“), są i jego przeróbki z włoskiego (z Metastazyusza)—„Temistokles,“ „Hektor“—nigdzie jednak nie wznosił się na najwyższe szczyty natchnienia; za to doskonale pisał „Bajki,“ i tych niepodobna, mówiąc o twórczości Książnina, pominąć milczeniem.

Wolny od uprzedzeń i sympatyj osobistych, nie umiał Książnin być pochlebcą, panegirystą i poetą, oddającym swoje pióro na usługi każdemu, kto za nie zapłaci.

Nawet Czartoryscy, którym mnóstwo rzeczy dedykował, nie usłyszeli nigdy od niego słowa niesłusznej pochwały; chwalił dobre, złe starał się wykorzeniać.

Kłęski, jakie na kraj nasz spadały, mąciły jasny umysł Książnina; łagodna melancholia obejmowała z wolna duszę poety w swoje sploty; z dnia na dzień więcej cierpiał i bardziej smętnym się stawał, aż na wieść o ostatnim rozbiórce Polski 1795-go r., ostatecznie stracił zdrowe myśli.

Tęskna, marzycielska dusza jego nie mogła znieść tego ciosu: usnęła snem wiekuistego zapomnienia o walkach świata, o gwarze życia i w mrok zapadła...

Poeta, jedynie dobro kraju mający zawsze na celu, miłujący nad życie ojczyznę — mógł ją przeżyć tylko jako obłąkany.

Umarł Książnin dnia 25-go Sierpnia roku 1807-go w Końskowoli, u przyjaciela swego, Zabłockiego.

Pozostawił po sobie, prócz puścizny literackiej, trwałą pamięć w sercach pokoleń następnych, które myśli i uczucia pieśniarza-patryoty we wdzięcznym przechowują wspomnieniu.

W setną rocznicę zgonu poety uczucia — na grób jego rzućmy ze czcią i żalem tę więź słów i myśli o nim.

T. K.



## Szkoła zdrowia w Kosowie.



W najdalszym zakątku Galicyi ku południowi, w trójkącie cypłowym, „Pokuciem“ zwanym, znajduje się mała miłościna Kosów, odcięta od świata, cywilizacji i kultury państwem gór, brakiem dróg żelaznych i wszelkich innych łączników, ułatwiających komunikację z ogniskami oświaty. Dziwna łagodność klimatu, niemal zupełny brak wiatrów, skłoniły d-ra Tarnawskiego, by tam otworzył swój zakład przyrodo-leczniczy.

Wysoko ponad Starym-Kosowem w dzielnicy zwanej „Smodną,“ na rozległej przestrzeni, otoczonej wokół ogrodzeniami widnieje zdaleka lecznica d-ra Tarnawskiego, złożona z drewnianych willi, na motywach ludowych wzorowanych. Tłem dla tego obrazu jest fa-

lowaty łańcuch Karpat, cieniem lasów, zlewający się z jaśniejszym o kilka tonów błękitem nieba. Życie w zakładzie dostosowane do praw przyrody, wolne od konwenansów i banalnej formalistyki światowej, idealny wypoczynek dla zmęczonych, pragnących wyzwolenia choć na chwil parę od obcisłych kołnierzyków, krępujących gorsetów, gniotących nogę eleganckich bucików—oto czynniki, składające się na nastrój kosowskiego zakładu.

Lecznice nazwać można ogniskiem odrodzenia fizycznego;—faktycznie jest to szkoła polskiej higieny, przez którą każdy Polak przejść powinien. Zakład kosowski nie ma szeroko go rozgłosu, gdyż d-r Tarnawski zupełnie o to nie dba, aczkolwiek bardzo chętnie wskazań higienicznych udziela zwracającym się do niego lekarzom, a w kosowskim zakładzie każdego sezonu jest zawsze kilkunastu lekarzy-pacjentów.

Sposób postępowania d-ra Tarnawskiego z pacjentami jest zupełnie oryginalny. Przedewszystkiem chodzi tu o pozyskanie chorych dla higieny, która ludzom o energii życiowej niemal całkowicie zanikłej, o woli chwiejnej i słabej, przedstawia się jako stek nudnych, męczących procedur, od jakich radziby niejednokrotnie jak najczęściej się uchylić. Trzeba ich nie tylko do higieny przekonać ale obudzić w nich tyle energii, by sam z własnej woli i z przyjemnością wszystkie zabiegi lecznicze praktykowali. Do lecznicy przyjeżdżają dość często sybaryty, wypieszczone i rozgrymaszone; d-r Tarnawski, chcąc je dla swej higieny pozyskać, używa dróg dwojakich: albo sympatycznego wpływu, albo moralnego teroru. Stosownie do typu użyty jeden z tych dwóch środków, nigdy go nie zawodzi.

Dzieje zakładu kosowskiego nie datują od zbyt dawna. Przed 15-tu laty, gdy stan zdrowia d-ra Tarnawskiego był niemal beznadziejny, a on sam uważał siebie prawie za dogorywającego, utworzył swoją lecznicę dyetetyczno-fizyczną. A zakład powrócił siły życiowe nie tylko jemu, ale dał zdrowie wielu cierpiącym, którzy przez Kosów przeszli.

Osoby, przybywające po raz pierwszy do Kosowa, utrzymują, że wprawdzie zakład jest urządzone nie tak po europejsku, jak w lecznicach niemieckich, lub angielskich, lecz wieje tu jakaś miła atmosfera swojskości, w której się czuć można zupełnie po domowemu. Przytem w niczem się tu nie spotyka tego szablonu niemieckiego, któremu podporządkowany jest pacjent i cały tryb jego życia w „Kurorcie.“ W Kosowie uszanowany jest przedewszystkiem indywidualizm każdego osobnika. Kto zaś tam był, ten z wszelką pewnością przyjeżdża tu chętnie i wiele razy później, choćby tylko dla odświeżenia w pamięci higienicznej metody życia.

Metoda lecznicza, praktykowana w Kosowie, polega na podaniu wskazań higienicznych i sposobów stosowania reguł zdrowotnych w codziennych warunkach życiowych. Zasady wysokiej higieny należy wpleść do treści życia, by mózdz z uich uczynić rodzaj nałogów codziennych. Kosów jest zatem istotnie szkołą zdrowia, wypuszczającą swych uczniów z zasobem przygotowawczym do da-

szej pracy nad sobą. Środkami leczniczymi są nieomyślne źródła sił życiowych, ogniska najwyższej energii żywej, wzrostu i rozrodczości: *słońce, powietrze i woda*. Chory organizm bywa traktowany w Kosowie jako maszyna psująca się, od której nie można żądać, by wykonywała tę samą czynność, co narzędzie w mechanizmie nieuszkodzonym; zatem droga do wzmocnienia chorego ustroju leży nie w metodzie przekarmiania, dodawania coraz nowych zasobów do opracowania, gdy mięśnie żołądkowe są osłabłe a praca asymilacji i przemiany materii, leniwie jeno odbywać się może — lecz właśnie w jak największym umiarkowaniu na punkcie przyjmowania pokarmów, albowiem nie nadmierna ilość pokarmów wzmacnia siły fizyczne, lecz praca i trud. D-r Tarnawski w swych pogadankach higienicznych, jakie każdego tygodnia miewa dla pacjentów, często cytuje słowa Goethego: „Życie to trud“ — i twierdzi stanowczo, że dla ludzi osłabionych nie wypoczynek, lecz umiejętnie a stopniowo stosowany wysiłek, jest drogą powrotu do sił fizycznych. Jako zwolennik ruchliwości jest propagatorem wszelkich sportów i zabaw ruchowych, a gimnastyka lecznicza, stosowana w zakładzie, jego własnego pomysłu, w doskonały sposób rozwija tkankę mięśniową przez powolny a wytężający ruch wszystkich mięśni. Najbardziej jednak zachęca d-r Tarnawski swych pacjentów do pracy fizycznej, zwłaszcza przy zajęciach ogrodowych i rolnych. Dla nas, Polaków dziwnie miły to sposób obcowania z ziemią. Atawizm krwi rolniczego narodu odzywa się naówczas niejednokrotnie, ciągnąc ku Macierzy. Zespół z glebą, ruch gimnastyczny zginania się i prostowania przy zajęciu łopata lub motyką, trud, występujący kroplami potu na ciele, przez co wypacamy toksyny z organizmu, wreszcie prądy pogody i zadowolenia z życia, idące ku nam z wieśniaczej gromady, jeżeli się przyłączymy do włościan pracujących w polu, wszystko to przedstawia taki zasób czynników dodatnich, iż uznać musimy, że praca fizyczna w polu, wśród pól lub ogrodów stanowi jeden z najdoskonalszych zabiegów leczniczych.

Dzień w zakładzie zaczyna się według czasu słonecznego o godzinie w pół do szóstej. D-r Tarnawski twierdzi, że z rannego powietrza należy przede wszystkim korzystać, by czerpać z niego ozon. Później, im bliżej ku godzinom południowym, tem bardziej ilość ozonu w powietrzu maleje, zaś o godzinie 2-giej już tlen atmosfery przestaje się ozonizować. Ranny dźwięk dzwonu japońskiego budzi gości i jest znakiem, że należy iść na rosę.

Park kosowski urządony jest z drzew owocowych, zaś rozległe trawniki w cieniu się ciągnące, służą gościom do chodzenia po rosie. Dla rozgrzania następuje o godzinie 6-ej gimnastyka, prowadzona przez d-ra Tarnawskiego, lub którego z jego lekarzy asystentów. W czasie gimnastyki zdejmują wszyscy biorący udział sandały i ćwiczą się boso. Kobiety mają do gimnastyki kostiumy z dziurkowanej przewiewnej materii, wyrabianej w kosowskim „tkactwie“, mężczyźni gimnastyczą się nago, biorąc równocześnie kąpiel po-

wietrzną. W dni pogodne gimnastyka odbywa się na otwartych boiskach, oddzielnych dla kobiet i mężczyzn, w czasie deszczu w obszernej hali gimnastycznej, gdzie są umieszczone drabinki i ławeczki do ćwiczeń szwedzkich. Hala ta jest miejscem wieczornych zabaw, tu odbywają się również odczyty, wieczorki muzykalno-wokalne, lub przedstawienia sceniczne. Przyrządy gimnastyczne są każdego dnia odmienne. Prócz tego są też ćwiczenia bez przyrządów, w czasie których uwzględniona bywa szczególnie gimnastyka płuc, oparta na psychofizycznych ćwiczeniach. Zastosowanie tu mają wdechy i wydechy hinduskie, praktykowane przez Yogisów \*) świeżenia oddechowe angielskie i niektóre ćwiczenia japońskie z zakresu Dziu-dzicu. Dwa razy w tygodniu bywa gimnastyka wspólna przy dźwiękach muzyki.

W ten sposób ruchem fizycznym zapracowawszy na apetyt, goście prawdziwie głodni udają się na śniadanie, które w Kosowie podają o godzinie 7-ej. D-r Tarnawski słusznie ostrzega, by nie jeść nigdy, gdy się nie czuje łaknienia — zaś, wstając od stołu, nie być nigdy w stanie całkowitej sytości. Po-leconem jest również *fletscherowanie* pokarmów, t. j. żucie każdego kaska tak długo w ustach, aż się prawie na sok rozplynie. Metoda ta jedzenia przejęta od Amerykanina Fletschera, jest doskonałą ze względu na zdrowie i ekonomię kieszeni. Przy podobnym sposobie jadań minimalna ilość pożywienia wystarcza do prawidłowego nasycenia organizmu tak, by się czuć w pełni swych sił życiowych i sprawności. Wszak organizm żyje tem, co zasymilował, zatem przy doskonałym żuciu każdą niemal cząstkę asymilujemy, nie tracąc na szkodliwy nadmiar.

D-r Tarnawski jest zwolennikiem jarstwa, utrzymując, że ponieważ użębienie człowieka jest małpie, zaś małpy jako roślinożercze, ilekroć zetkną się z mięsem (np. w menażeryach, lub trzymane po domach), zawsze to odchorują lub nawet giną od mięsnych pokarmów stale używanych, zatem i człowiek powinien być wegeteryaninem. Oprócz tego, opierając się na takiej powadze wśród higienistów europejskich, jak Aleksander Haigh, również twierdzi jak i on, że ludzie współcześni, chorujący niemal bez wyjątku na skazę krwi, powinni unikać przede wszystkim pokarmów, będących materiałem na kwas moczowy. Do takich pokarmów należą oprócz mięsa, alkohol, kawa, herbata, jaja, rośliny strączkowe, grzyby i szparagi.

W Kosowie jednakże nie ma bezwzględniego wegeteryanizmu, jak np. w lecznicy Haigha pod Londynem, lecz trojaka różnica stołów. Jedni jadają mięso raz w tygodniu, na drugim stole podają mięso 3 razy w tygodniu, na trzecim stole jest mięso codziennie. Goście przybywający przechodzą z wolna przez te trzy stoły, aż soki trawienne zamieniają się w nich do tego stopnia, że z przyjemnością jadają przy stole 1-ym, nie tęskniąc do częstszego używania mięsa. Obiady są obfite i wykwintne, kolacje bardzo skromne: kwaśne mleko, kasza lub ziemniaki, chleb, masło,

\*) Hindusi, dążący do wysokiego uduchowienia przy pomocy ćwiczeń psycho-fizycznych.

rzodkiewka, owoce. Do śniadania: kakao, lub kneipowska kawa, ale równocześnie zawsze mleko, by gości odzwyczaić od nawyków domowych, a zbliżyć do higienicznego używania mleka. Bywają także śniadania suche, złożone z owoców i chleba.

W pierwszych tygodniach pobytu w lecznicy, zazwyczaj zdarza się u pacjentów ubytek na wadze. Osoby szczupłe zaczynają się tego lękać, lecz d-r Tarnawski uspakaja je zapewnieniem, że pod wpływem życia w wysokiej higienie ubyły materje z organizmu, co właśnie jest czynnikiem nader korzystnym dla kuracjusza. W następnych tygodniach waga stale się zwiększa, jakkolwiek pacjent w żywieniu się zachowuje zawsze miarę.

Najważniejszym środkiem leczniczym, praktykowanym w Kosowie, jest świeże powietrze. Dopływ świeżego powietrza do pokoju mieszkalnego nie tylko powinien trwać przez cały dzień, lecz przede wszystkim nocą. Gdy ciało usiłuje wytechnąć przez swoje pory wszystkie wydzieliny niepotrzebne, gdy płuca wydechują produkty spalania, a w miarę tego w zamkniętej atmosferze pokoju ilość tlenu zmniejsza się, płuca muszą oddychać powtórnie swojemi wydzielinami i gazami szkodliwymi. Dlatego nocą, bez względu na porę roku, tak latem, jak i zimą, spać należy koniecznie przy otwartem oknie. Przykryć się można jak najcieplej, choćby kilku kocami, ale przypływ powietrza niechaj będzie stały. z atmosfery czerpać można całe zasoby potęgi życia twórczej.

Dalszym sposobem wykorzystania sił atmosfery są kąpiele słoneczne i powietrzne. W Kosowie używa się takich kąpiele dwa razy dziennie — przed południem i po południu. W razie niepogody odbywają się kąpiele powietrzne w miejscu otwartem, tylko pod dachem; można jednak używać z dobrym skutkiem i kąpiele deszczowych, które, zwłaszcza podczas burzy, są niezmiernie orzeźwiający, gdyż wprowadzają w pory ciała zozonizowane powietrze wraz z prądami elektrycznymi. W czasie deszczu lub w zimie trwa kąpiel powietrzna krótko, kilka minut do kwadransa, w czacie lata do kilku godzin. Szczególniejsze znaczenie ma kąpiel słoneczna. Jest to najmilszy zabieg leczniczy, jaki można sobie tylko wyobrazić. Promienie słońca pieszczą ciało miękkością pocałunków, udzielając mu wraz z rozkoszą ciepła siłę życiodajną. Zwłaszcza na wiosnę, gdy w przyrodzie budzą się siły rozrodcze, a słońce ożywcem techniem rozprowdza je po wszystkich arteriach ziemi, leżąc w świetlanej kąpeli bezpośrednio w słońcu, czerpie się siłę żywotną, energię czyn budzącą i młodość. Drugie znaczenie kąpiele słonecznych to przyspieszenie przemiany materii. Ludzie w kulturze żyjący, cierpią ogólnie na upośledzoną i zbyt leniwą przemianę, ztąd cały legion niedomagania przeróżnych, cierpien najrozmaitszych, apatycznych, lub melancholijnych nastrojów. Działanie słońca w tym kierunku jest tak intensywne, że nieprzyzwyczajeni do kąpiele słonecznej, jeżeli jej użyją zbyt długo, przyspieszają przemianę materii w organizmie aż do stanu gorączki. Jest to tylko przejściowe i natychmiast przemija, dowodzi jednak mo-

cy słońca nad strojem ludzkim. Na boiskach, gdzie się odbywają kąpiele słoneczne, są drewniane leżaki, na których pacjenci wygrzewają się w słońcu. D-r Tarnawski nie jest zwolennikiem zbyt długiego wylegiwania się, poleca on i w czasie kąpiele słonecznych ruch umiarkowane i lekką gimnastykę.

Hydropatya kosowska obejmuje cały szereg zabiegów przeróżnych z wody ciepłej i zimnej, które są kombinowane odpowiednio do organizmu pacjenta, do płci, wieku, stopnia osłabienia i t. d. Procedury wodne praktykuje się 2 razy dziennie w nowej, wzorowo urządzonej łaźnicy, a wyszkolona służba kąpielowa udziela zabiegów według przepisu lekarza.

Dla uprzyjemnienia pobytu goście korzystają w zakładzie z biblioteki liczącej do 1,000 książek i czytelnik, zaopatrzonej w dzienniki polskie, rosyjskie i francuskie. W ogrodzie zakładowym wznosi się kaplica, gdzie codziennie odbywa się msza święta, ponieważ wśród kuracjuszy znajduje się zawsze kilku księży.

Sezon w Kosowie trwa pół roku: od 1-go Maja do 1-go Listopada, a dzieli się na 3 części: sezon wiosenny, letni czyli pełny i jesienny. W sezonie pełnym jest dość trudno o miejsce w zakładzie, kto chce na lato przyjechać do lecznicy, musi przysłać zamówienie na jakiś czas przedtem. Szczególniejsze znaczenie ma kuracja jesienna, ze względu na zahartowanie przed zimą jak również i na obfitość owoców, co bardzo sprzyja odbyciu kuracji owocowej. Osoby, które leczyły się u wód przez lato z dobrym skutkiem przeprowadzają kurację końcową w Kosowie, w sezonie jesiennym.

Ceny w sezonie pełnym są wyższe, w wiosennym i jesiennym niższe, w ogóle jednak bez porównania umiarkowane, niż w lecznicach zagranicznych tego typu. Na żądanie posyła d-r Tarnawski prospekty, po które zgłosić się można pod adresem: Lecznica d-ra Tarnawskiego w Kosowie za Kołomyją, Galicya. Co do połączenia kolejowego, to z Warszawy jedzie się na Kraków, poczem na Lwów, z kąd do Zabłotowa, ostatniej stacji kolejowej. Z Zabłotowa jedzie się dorożką 3 mile do Kosowa, za cenę 9-ciu koron.

Z każdym rokiem wzrasta frekwencya gości w zakładzie kosowskim. Liczba willi okazuje się już niedostateczną dla pomieszczenia wszystkich zgłaszających się do lecznicy, wiele osób mieszka w chatkach wiejskich po za zakładem, a leczy się u d-ra Tarnawskiego. Hygiena kosowska ma wielką wartość przede wszystkim w wychowaniu młodego pokolenia. Pożądanem byłoby, żeby zasady ztąd wyniesione mogły wejść w program wychowania fizycznego młodzieży, jak to już się stało w zakładzie naukowo-wychowawczym ks. Gralewskiego i d-ra Kazimierza Lutolskiego w Starej-Wsi pod Warszawą.

Sily fizyczne, jakie posiadamy, winniśmy pielęgnować, ćwiczyć i wzmacniać, już nie tylko dlatego, że są naszą własnością, ale bardziej przez myśl, że suma tych wszystkich sił jest ogólnym kapitałem dobra publicznego, o które upomną się i rachunku od nas zażądają przyszłe pokolenia. Oby kiedyś potom-

kwie nasi, nie pytali nas z krzykiem rozpaczny:

„Za co życie w życia chwili  
„Z taką pychą roztrwonili?”

„Że tak dbając o nas mało  
„Krew nam—a w tej krwi śmierć dali!”

*Eugenia Dobrzańska.*



## Co słyszą powiernicy?



„Największym skarbem synów ziemi  
jest ich indywidualność.”

*Goethe.*

Czy znacie ludzi stworzonych na powierników? na spowiedników świeckich, którzy posiadają dziwny dar otwierania serc ludzkich?

Dusze ludzkie, podobnie jak kwiaty, ulegają niekiedy takiemu duchowemu „heliotropizmowi,” zwracają się z całą ufnością do takich osób, które chowają w sobie dar stawiania się powiernikiem czy powiernicą.

W obecnych czasach zwłaszcza, kiedy harmonijny, na ufności wzajemnej oparty zespół, znika często nawet z domowych ognisk, osoby, u których nagromadzony ból, żal, skarga, oburzenie, a czasem nadmiar tłumionej energii przepelnia serca, potrzebują koniecznie znaleźć ujście dla swych uczuć i rade są przed przyjazną, pewną i silną duszą wypowiadać się szczerze do dna, z tego, co ich boli lub jarzmem tłoczącym przygniata.

W tem położeniu są u nas najczęściej, wybitniejsze, bardziej indywidualne jednostki, wśród panien obecnego pokolenia. W otoczeniu najbliższym, są one często nierozumiane, uznane za przewrócone głowy i rozwichrzzone serca. Wyszadzane, potępiane, obrażane na każdym kroku w swych najświętszych, najbardziej godziwych dążeniach ludzkich, dziewczęta owe zamykają się w sobie, obojętnieją zwolna lecz coraz bardziej dla swego, nieraz bardzo blizkiego otoczenia, stwarzają sobie inny świat i marzą o wyzwoleniu ekonomicznym, uważając i słusznie, że wyzwolenie materyalne od zależności rodziny, będzie pierwszym szczeblem i na drodze do zupełnego duchowego wyzwolenia z więzów różnych konwencyonalnych pojęć, będących jeszcze świętością dla wielu rodzin naszych, a uznanych w teorii za przeżytki przez świat córek.

W obecnej chwili różnice poglądów między światem „starych” a „młodych” znów są bardziej jaskrawe. W rodzinach, przeciwieństwo między światkiem matek, ciotek, a jeszcze bardziej „postronnych matron, ferujących bezapelacyjne wyroki z wysokości kanap, a światkiem córek przedstawia się bardzo ostro. W obecnej chwili jesteśmy świadkami pewnego rodzaju emigracji ideowej. Znam nawet młode panny o charakterach zdecydowanych, które opuściły dom rodzinny i założyły sobie na własną rękę mieszkania studenckie. Czy myślicie, że u-

czyniły to te, którym się [uśmiecha jakaś awanturnicza przygoda?

Rynajmniej. Uczyniły to najzacniejsze dziewczęta, córki „porządnych” rodzin, które uciekły ze swych wygodnych, zacisznych pokojów panińskich, z pod rodzicielskiego dachu, bo atmosfera domowa dusi je, bo czują głód za światłem, powietrzem i myślą. Bo nie chcą zgubić swych dusz, nie chcą pozwolić, aby te dusze ich zmielone zostały na plewy, „na tym swojskim młynku na strudze,” co „miełe otręby nasze i cudze.”

Tak, one do tego dopuścić nie chcą, bo mają naokoło siebie aż nadto przykładów, jak dalece taka nieodpowiednia atmosfera działa rozkładająco nawet na natury bogate i odporne. W obronie zatem tego największego duchowego skarbu człowieka, który się indywidualnością zowie, zrywają z tradycją rodzinną i idą w świat o własnych siłach, Wiedzą, że idą na nędzę, walkę i pracę ciężką, wiedzą, że opinia przeciętnych „porządnych ludzi” kamienie ostre pod stopy rzucać im będzie: one to wszystko wiedzą, a mimo to — idą.

I ta nowa emigracya zaczyna przybierać coraz szersze rozmiary, nie wolno zamykać na nią oczu, trzeba tę sprawę bolesną, drażliwą i skomplikowaną poddać sumiennemu choć przykreemu sprawdzeniu, a potem dopiero szukać na ranę lekarstwa.

*St. Poraj.*



W setną rocznicę urodzin bohatera.

## Giuseppe Garibaldi.

KARTKI Z PAMIĘTNIA.



(Ciąg dalszy).

CZĘŚĆ DRUGA.

ROZDZIAŁ VII-my.

Odwrót z pod Rzymu.

Moja nieoceniona Annita, nie bacząc na me prośby, postanowiła nie odstąpić mię w odwrocie. Na nic nie zdały się wszelkie moje perswazy, w których starałem się przedstawić jej niebezpieczeństwa, na jakie wystawi się, będąc w odmiennym stanie. Zaraz w pierwszym domu, położonym za murami Rzymu, Annita ostrzygła włosy, przywdziała męskie ubranie i dosiadła konia.

Przeświadczywszy się, że droga prowadząca do Tivoli, nie jest zajęta przez wojsko, ruszyliśmy w pochód i o świcie dnia 3-go Lipca, t. j. nazajutrz po wyjściu z Rzymu, doszliśmy do kresu wędrówki.

Aczkolwiek brakowało mi już najdzielniejszych moich oficerów, poległych w bitwie, albo rannych, jak: Masina, Daveria, Manary, Momeli'ego, Bixia i wielu innych, wszelako po ukazaniu się Marrecchetti'ego, Sacchi'ego, Coccelli'ego, zważywszy przytem usposobienie towarzyszących mi żołnierzy, zostałem przejęty otuchą, że jeszcze przez pewien przeciąg czasu będę mógł na własną rękę podtrzymać walkę, a nawet przypuszczałem, że da mi się rozplomić w narodzie gasnące już uczucia patryotyczne.

Nasz marsz zwróciłem z Tivoli w dalszym ciągu ku górą, sądząc, że uda mi się tam

zebrać dokoła siebie zastęp walecznych górali, ale niestety, rozczarowałem się w mem wyrachowaniu i doświadczyłem okropnego zawodu, ponieważ nie tylko, że ani jeden człowiek nie przystał do mnie, lecz, co gorsza, każdej niemal nocy uciekała znaczna liczba tych, którzy wraz ze mną wyszli z Rzymu. Dopiero w Terni dołączył się do nas pułkownik Forbes. Po opuszczeniu tej czarownej miejscowości, wkroczyliśmy w góry Apenińskie, powołując górali do broni, ale nikt nie posłuchał naszego wezwania.

Z powodu wielokrotnych ucieczek, coraz bardziej zwiększał się nasz zapas broni, przewożonej na mułach, ale to pociągało za sobą znaczne trudności, tak, że na razie zostaliśmy zniewoleni do oddania jej wraz z amunicją na łaskę i niełaskę tych mieszkańców, których poczytywaliśmy za najpewniejszych i najprzychylniejszych dla nas.

W istocie, położenie nasze nie było godne zazdrości, mieliśmy bowiem za wrogów Austriaków, Hiszpanów i Neapolitańczyków.

Najbardziej niebezpieczni z nich byli Austriacy, zwłaszcza, że powiadomieni byli o każdej drobnostce, która nam dokuczała, o każdym naszym zamiarze i zwrocie. I nie można było dziwić temu! Dokoła nas roilo się od zdrajców i przedawczyków. Tylko naszym stanowiskom mieliśmy do zawdzięczenia, że Austriacy, którym nie brakło dobrych przewodników, nigdy nie uderzył na nas niespodziewanie i że w skutek tego byliśmy w możności chronić się przed pogonią. Nasz szczupły zastęp swoją wytrzymałością i mężnym zachowaniem dopiął również tego, że Austriacy, tryumfatorzy z pod Navary i wszechwładni posiadacze całej południowej części półwyspu, nie wzięli się uderzyć na nas, w celu ostatecznego pogromu. Nie bacząc na to, byłem zniewolony każdej nocy zmieniać nasze pozycje.

Wymknąwszy się pomyślnie z paru potyczek, dostaliśmy się do San Marino. Wtedy to dwu naszych kawalerzystów znalazło się w rękach włosian biskupa z Chiusi. Zażądałem ich wydania, ale mi odpowiedziano odmownie. Pochwyciłem przeto do niewoli wszystkich mnichów pewnego klasztoru i poleciłem im maszerować na czele kolumny, uwiadomiwszy biskupa, że każę ich wszystkich rozstrzelać, na wypadek, gdyby nie uwolnił moich kawalerzystów ze swego pasterskiego uścisku. Wszakże biskup, miast zabranych do niewoli, taki mi przysłał respons: „We włoszech nie brak materyału na mnichów i zawsze go dostyć będzie, choćby wzięci do niewoli ulegli rozstrzelaniu, a pojmany kawalerzystów zatrzymam.“

Podczas tego odwrotu najwięcej smutku i boleści przyczyniła mi ciągła, nieustająca dezercya. Pierzchający z naszego zastępu dezercerzy, łączyli się w oddziały i rozsypawszy się po okolicy, popełniali rozmaite nadużycia, dopuszczali się gwałtów i t. d. Użalano się na garybaldyjskich ze wszech stron! Hańba! Wstyd! Paru, których udało mi się pochwycić, rozkazałem bez sądu rozstrzelać — ale to nie zaradziło złemu, a przynajmniej w bardzo małym stopniu. Nasze położenie poczyniło stawać się coraz bardziej trudnym, i tak, jak już o tem wspomniałem, zwróciłem się ku San-Marino. Dostrzegłszy nas zbliżających się do owej rzeczypospolitej, wysłano do mnie z San-Marino delegatów, w celu porozumienia się. W czasie prowadzenia układów, na tyłach naszego oddziału pojawili się Austriacy, na których widok taki paniczny strach ogarnął mój oddział, że prawie wszyscy porzucili broń i jęli uchodzić. Na wieść o tem wróciłem do obozu i tam ujrzałem, jak moja Annita starała się wraz z pułkownikiem Forbesem powstrzymać pierzchających i zniewolnić ich do pozostania.

Po przybyciu do San-Marino, wypisałem na ścianie jakiegoś kościoła, znajdującego się

po za murami miasta, następujący rozkaz dzienny: „Żołnierze! Zwalniam was od towarzyszenia mi. Powracajcie do waszych siedzisk — ale zawsze miejcie w pamięci, że Włochy nie powinny wrócić do jarzma niewoli i ucisku!“

Następnego dnia rząd rzeczypospolitej San-Marino odebrał od ścigającego nas austriackiego generała wezwanie z warunkami, które przez nas zostały odrzucone; wywołało to wśród naszych żołnierzy pożądaną reakcję, teraz bowiem postanowili raczej zginąć, aniżeli złożyć broń przed nieprzyjacielem.

Stosownie do mojego porozumienia się z rządem rzeczypospolitej San-Marino, mieliśmy tu, jako na terytorium neutralnem, złożyć broń — a potem rozejść się do domów; co się jednak mnie tyczyło, to, nie zamyślając bynajmniej wraz z garstką przyjaciół złożyć broni, zamierzyłem przedostać się do Wenecji. I to postanowienie doprowadziłem do skutku.

Wobec okropnego stanu zdrowia Anity, usiłowałem pozostawić ją w San-Marino, pod pieczołowitą opieką poczciwych ludzi, aż do czasu wyzdrowienia, ale stanowczo oparła się temu i nocą porzuciliśmy miasto, zwracając się ku Adryatykowi, by dopadłszy jego brzegów, dotrzeć do Wenecji z pierwszej lepszej nadbrzeżnej miejscowości. Błądziłszy w przeciagu siedmiu dni, poczem, korzystając z pomocy poczciwego mieszkańca tej okolicy, niejakiego Golopinięgo, do Cesenatico. Zapadała już północ. Wkraczając do miasteczka, rozbroiliśmy bez strzału spotkana placówkę austriacką, a niebawem zabraliśmy też w niewolę paru żandarmów, którzy się nas bynajmniej nie spodziewali. Rozkazałem, by miejscowa municypalność dostarczyła nam odpowiednią ilość łodzi, dla przeprowadzenia mojego oddziału, ale szalejąca na morzu burza zatrzymywała nas w porcie. Nie napróżno jednak byłem marynarzem. Wydobyć się z portu było rzeczą niezbędną, poczyniło już świtać, nieprzyjaciel zbliżał się coraz bardziej, a my mieliśmy tylko jedną drogę odwrotu.

Po niewypowiedzianych trudach, zwracając się ku Wenecji, wypłynęliśmy na morze na trzynastu rybackich łodziach, w których pomieściło się dwustu ludzi, zaopatrzonych w żywność.

Opuściliśmy port w Cesenatico już około południa. Burza uspokoiła się, niebo się rozjaśniło, a wiatr nam sprzyjał. Stan zdrowia Anity pogarszał się coraz bardziej. Znosiła straszne katusze.

W następstwie nieoczekiwanych trudności, które nam towarzyszyły przy wyjeździe z Cesenatico, nie byłem w stanie zająć się zabranem żywności, któraby dla nas wszystkich starczyła; było jej nazbyt mało, a na domiar złego rozdzielono ją po wszystkich łodziach; o wodzie słodkiej zgoła nie pamiętano, a moja ubóstwiana Annita z pragnienia zmysły traciła. Tego dnia żeglowaliśmy ustawicznie wzdłuż brzegów. Tymczasem zesła przepiękna noc. Księżyc jaśniejący w pełni, zatapił brzegi w świetle srebrzystych swych promieni, oświetlając wspaniale powierzchnię lśniących w nim fal. Ale następstwa owego blasku były dla nas zgubne.

Na wschód od Gero stała na kotwicy flota austriacka. Kierując się w stronę Wenecji, spotkaliśmy najpierw brygantynę, nazywającą się, o ile pamięć mię nie myli: „Orient;“ jej to straż natychmiast nas dostrzegła i bezzwłocznie to zasygnalizowała. Ukrywszy się w cieniu brzegów, próbowałem przemknąć się, aczkolwiek zwrócono ku nam strzały. Znalezliśmy się w położeniu bez wyjścia; nie będąc w stanie ani cofać się ani też posuwać się naprzód, zwróciłem ku brzegowi łódź, ostrzeliwaną przez nieprzyjaciela. Z trzynastu łodzi dostały się na brzeg tylko cztery, wszystkie inne wpadły w ręce nieprzyjaciela.

Można sobie wyobrazić, w jak okropnem położeniu znajdowałem się! Nieszczęśliwa An-

nita dogorywała! Na morzu ścigał nas nieprzyjaciel a i na lądzie oczekiwało nas niebezpieczeństwo zetknięcia się z bardzo licznym wrogiem, przed którym nie było sposobu uciec!

Nie bacząc na to wszystko wylądowaliśmy! Wziąłem na ramiona moją najukochańszą i po wyjściu z łodzi, złożyłem ją na wybrzeżu. Pozostałym towarzyszącom broni poleciłem pośpieszyć w głąb kraju, dla odnalezienia jakiego schroniska. Ja nie byłem w stanie pójść z nimi, ponieważ musiałem pozostać przy umierającej.

Ugo Bassi odchodząc powiedział do mnie: „Pójdę i przedewszystkiem poszukam sobie jakich innych spodni, ponieważ te (a miał na sobie czerwone), wyglądają zbyt podejrzanie!“

Civerovacchio, pożegnawszy mię serdecznie, również się oddalił z dwoma śmiałkami. Żadnego z nich nie zobaczyłem już więcej. Austriacy rozstrzelali ich razem z Paraodim Ramorinem i pięciu innymi.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Z PAPIERÓW BABKI MOJEJ.



### DOM RODZICIELSKI.

Grędziszczko, Styczeń, 1860 r.

Dom rodzicielski — święte ukochane słowa

Dom rodzicielski — to wspomnienie błogie, rzewne, to niepowrotnie utracona młodość, to promieniste nadzieje, to ukochane zmarle drogie twarze, — to miła słodka harmonia w ogólnym świata chaosie, to ostatnia arka przymierza dla znękaney duszy w chwilach jej burz i walk.

Dom rodzicielski — dla dziecięcia to świat cały. Rodzice, rodzina, to pierwotne wyobrażenie i wcielenie całej nauki Chrystusa — Miłości i Braterstwa.

Ojciec — ideał człowieka, rozumu, potęgi.

Rodzeństwo — to społeczeństwo z jego prawami, walkami, współzawodnictwem i braterstwem.

Matka — to ogniwo tego wszystkiego z sercem człowieka, to dobry anioł w złej dolinie — to natchnienie dobra, to drugi świat nasz wewnętrzny, w cichej sile którego czerpiemy odwagę do walk i pracy. O, Matka! to najczystsze moje ukochanie, jej uścisk i łza to także potęga!

Rosnie dziecię w rodzicielskim domu — rośnie, patrzy, słucha. Urósł w młodzieńca i wybiła mu pierwsza godzina swobody, więc wybiega w świat *Sam* już, pełna głowa, pełne serce, pracuje myśl, piersi za ciasnem, oko płonie i patrzy niezmużoną źrenicą w gorejącą twarz słońca.

Szedł prędko bardzo, spieszył, lecz uszedł drogi nie wiele.

Z dumnie podniesionem czołem wchodzi młody szermierz pod dach rodzicielski; z powagą męża podaje ojcu prawicę; w społeczeństwie czuje mu się bratem... Ojciec go wita, dłoń w uścisk bierze, dumy nie drażni, — wie, kiedy przyjdzie godzina, gdy mu

ten syn kochany i dumny do kolan klęknie; dłoń ucałuje, do piersi przypadnie.

W matki ramiona biegnie młodzieniec ufny i uśmiechnięty, głowę przed nią pochyla, bo w oku jej widzi miłość, i uznanie i zachętę; przy jej sercu instynktowo najlepiej mu, choć nie wyrozumował sobie tego jeszcze, że z tego serca ma te wszystkie moce. Nie uwierzyłby nawet! On czuje się taki potężny, wielki, a pełnym głosem Ja i Sam—wołając, czuje siły tytanów co światy dźwigają.

I matka uśmiecha się do syna, do pięknego, promiennego młodzieńca, razem z ojcem patrzą na niego, tylko smutno jej w duszy, bo naprzód cierpi syna bólami i wie że ten dumny, przyjdzie schylony do jej macierzyńskiego łona, o serce zapyta, na pierś skłoni głowę i że trzeba mu będzie kłaść łagodnie dłoń ciepłą na jego pierś chorą.

Potem idzie młodzieniec w koło młodszych braci i sióstr. Dla braci ma mentorską, ojcowską niemal powagę; czuje się powołanym przedstawiać godnie w ich oczach świat, do którego on już należy, mówi do nich frazesami, których nie bardzo rozumieją, rozwija teorie o horyzontach dalekich, mówi o ideałach.

Chłopcy zapatrzeni, zasluchani, pojmują ledwie w połowie, lecz cel osiągnięty, bo w młodych głowach myśl płomienie roznieca, w sercu żar rozpala, ramionom skrzydła przypina do wysokich lotów — tam — gdzie ten brat ich rodzony żyje, pracuje, wierzy i działa.

Najbiedniejsze siostrzyczki, uściskał on je serdecznie, lecz żeby one wielkość jego zrozumiały, nawet nie zapragnął. On, taki potężny duchem, nanką, taki myśliciel — a one miłe, śpiewające ptaszki, złoto-skrzydłne motylki, wonne kwiatki na łące, więcej nie! Lecz nie smućcie się siostry, przyjdzie i dla was pora prawdziwego braterstwa, powróci do was, jak druh powita, w długim uścisku splecie ramiona. Z cichych, łagodnych, słodkich słów matki i waszych, nabierze więcej skarbów do serca, niż mu świat i ludzie dali.

Ale żegnać się pora — tyle pracy czeka; bez smutku żegna swoich, bo tam druga czeka rodzina — Świat; żegna krwią swoich, by dążyć do swoich duchem. W uścisku ojca, matki, rodzeństwa czuje ich miłość gorącą, a w niej czuje godność swoją, i nią zacniejszy, czysty i silny żegna *dom rodzicielski*.

Czas płynie. Powoli spostrzega młodzieniec, że ten „Świat“, ta druga rodzina jego, to nie wszyscy bracia duchem, — że ten i ów serdecznie ukochany, to tylko trochę pozłoczonej gliny; że gorącymi słowami, w które on szczodra dłonią własne serce i własną krew kładzie, o puste tylko czaszki, o puste tylko piersi dzwoni; że te ukochane księgi jego, do których szedł z wiarą zapytań pełen, ani jednej jasno nie rozwiązały mu zagadki i że z ostatniej strony każdej z nich patrzy tylko ku niemu tajemnicze finksy oblicze.

Smutno młodzieńcowi, smutno młodemu szermierzowi. Lituje się nad tymi biednymi, których napotkał; z żalem patrzy na księgi, z których chciał się *prawdy* dowiedzieć, ogląda się za tymi, których szukał, do których gorącymi słowami mówił, a którzy odeszli. Co raz cięższy smutek serce mu zalega, pierwszy raz w życiu jest w niezgodzie z samym sobą, błądzi niespokojną myślą i pyta się serca własnego czy *złe* chciał, czy *złe* szedł, czy *złe* czuł! Kto mu odpowie?

— Ach! mam dom rodzicielski! — woła mu w piersi prąd gorący, — pójdę po nich!

Wybrał najkrótszą drogę. Rodzice witają syna; spojrzawszy na niego, zrozumieli oboje, po co syn ten ukochany przyszedł do rodzicielskiego domu. Młodzieniec wita ojca, ale uścisk dłoni jego mniej hardy — za to ojciec bierze go w ramiona, sam potrząsa prawicą, uśmiecha się serdecznie i pyta o wielkie świata sprawy.

Matka biegnie ku niemu, długo z miłością i mocą patrzy w oczy, a potem, biorąc łagodnie płonąca głowę syna w swoje dłonie, nachyla ją na pierś swoją i słodkie, gorące, składa na niej pocałunki. A syn zdziwiony czuje znów ciepło w stygnącym sercu; czuje, że mu znów dobrze, błogo, rzewnie, że ono zabiło z całą dawniejszą mocą — i długo, długo zostaje w tym odradzającym matczynym uścisku.

Przychodzą witać bracia — podnosi się do nich żywo, z dobrocią dłoń wyciąga, i w ramiona bierze; łagodnie o nauki pyta i w zamyszeniu rzewnem patrzy w ciekawie płonąca chłopców oczy, na białe, wyniosłe czoła.

A siostry — one nieśmiało stanąwszy na uboczu, patrzą na ukochanego brata. Lecz on je takim serdecznym obejmuje spojrzeniem, takim gorącym wita pocałunkiem, tak się radośnie dziwi ich wdziękom i słowom, że dumą zabiły im serca. Bo widzą, że ten brat drogi, taki daleki od nich, choć tak bliski, taki wielki, a taki jednak dobry, kocha je, czuje z nimi i że przyszła chwila, w której mu one z zaklętych dotąd skarbów dusz swych wypowiedać się mogą — białym opłatkiem wiary podzielić na złą i dobrą dolę — stanąć w jednym szeregu do pracy na jednym zagonie — jedno ukochać i jednym pogardzać.

Serdeczna radość pod rodzicielskim dachem; wszystkie skarby miłości roztańczają przed smutnym, zadumanym młodzieńcem, a on, kochany, zrozumiany, niemal szczęśliwy, i na nowo mocny, mężny, szlachetny, żegna rodzinę, żegna, bo praca woła. Ale żegna dłużej, serdeczniej, tkliwiej, — w ojcowskim pocałunku jakby mu męskiej przybyło siły, w uścisku matki długo, długo pozostał, zadrgały powieki, zaśmiała się źrenica, ale rozjaśnił zmroczony duszy horyzont i znów dumny, znów na bój silny, pożegnał *dom rodzicielski*.

Wrócił do świata — patrzy, myśli, szuka, — tam mu mówili u swoich, że byle szedł z *Miłością*, trafi na dobrą drogę, która do *Prawdy*, do słońca wiedzie, — więc rozgląda się baczniej, lecz własnymi ideałami znów ludzkie odziewa postacie.

I mówi i woła, głosem miłością święte wezbrany, wielkim, drgającym, potężnym — i błaga, zaklinając imiona świętych bohaterów. Ludzie głos posłyszawszy, zatrzymują się, słuchają z dreszczem, z lękiem; jedni zwą wielkim i pochylają czoła, drudzy niepojętym i zadumani odchodzą — a inni, lecz tych najmniej, otaczają go wieńcem, podnoszą ku niemu ramiona i wołają: „Prowadź nas, pójdziemy za tobą!“

I idą. On wielki, natchniony, szczęśliwy, że pojęty, pieśń im przyszłości śpiewa; pieśń takiej siły, takich dziwów pełną, pieśń o królestwie Prawdy i Miłości na ziemi, że zda się umarłych wskrzesi, więzy potarga, kamienie ożywi, podłych oczyści.

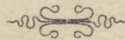
Idzie i śpiewa coraz głośniejsze, coraz dalej głos sięga, słuchają go, i patrzą nań, bo jak od pomazania Bożego bije zeń blask, bije siła.

Lecz doleciał doń jęk, odwraca głowę i widzi kilku druhów z orszaku z pokaleczonymi stopami o glazy, mdlejących z niemocy. Chee się zatrzymać w pochodzie, cucić słabych, lecz oni iść mu każą dalej, błagając, by szedł, bo wielki czas budzić śpiących, krzepić wątpiących, bo pieśń woła: Naprzód, naprzód, w górę!

Więc idzie dalej, idzie i nie widzi, że i ślady stóp jego znaczą już krwawe plamy, nie widzi i nie czuje, śpiewa, idzie wielką siłą party. Połowę już uszli drogi.

*Ew. Ba.*

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Zjazd kobiet polskich.



### Sekcja ekonomiczna.

#### Drugie posiedzenie.

#### ZAKOŃCZENIE ZJAZDU.

Drugiemu posiedzeniu sekcji ekonomicznej, również w sali Muzeum odbytemu, z niesłabnącą energią i wielką umiejętnością przewodniczyła p. Zofia Sadowska.

Posiedzenie rozpoczął wybornie opracowany referat

**Eugeni Żmijewskiej: „Kobieta w dziennikarstwie polskim.“**

Wszystkie szczeble dziennikarskiej drabiny, zajęto przez kobiety: w kantorach, przy kasie, w redakcyach: korektorki, tłómaczki — zmaganie się ich z przekładami, spowodowane niedostatecznym przygotowaniem, powódź tłómaczeń, tłómaczki-amatorki, wzmiankarki, sprawozdawczynie, autorki artykułów, redaktorki. Dyletantyzm, niesumiennosc adeptek dziennikarstwa, wyzysk, nierównomiernosc honoraryów za prace kobiece i męskie. Trudności w otrzymaniu stałych zajęć. Zarobki, liczba godzin pracy, stosunek do kolegów. Postulaty: konieczność otwarcia przyproj-

\*) Referat ten drukować będziemy w całości.



ktowanem seminaryum im. Orzeszkowej kursów dla dziennikarek, na których mogłyby osiągać wiadomości teoretyczne i praktyczne, niezbędne w tym zawodzie.

#### M. Karczewska: „Dola i niedola robotnic wiejskich.“

Ponuremi barwami odmalowała referentka cały przebieg życiowy przeciętnej dziewczki folwarcznej, od chwili przyjścia jej na świat, jako dziecka przeważnie wolnego związku, aż do zajęcia przez dziewczkę najwyższego stanowiska w hierarchii służby folwarcznej. Przed 8-ym rokiem życia musi się opiekować młodszym jeszcze rodzeństwem, potem, do lat 10-ku uczy się obchodzić z garnkami i idzie na służbę do komorników, bo dwór nie potrzebuje jeszcze tak młodych, następnie dostaje się jako „posyłka,“ do parobków, pobierając rocznie nieprawdopodobnie niską płacę, 12 rubli 50 kop. przeciętnie, wreszcie po przejściu wszystkich tych szczebli, dostaje się na dziewczkę do dworu, za przeciętnem wynagrodzeniem 27-ku rubli rocznie.

Nie więc dziwnego, że w tak strasznych warunkach, wobec pracy, która latem dochodzi do 18-tu godzin na dobę, klasa ta jest najciemniejszym zakątkiem społeczeństwa naszego, gdzie prądy wolnościowe wcale niemal nie przenikają, a w ciemni tej, według obliczeń Grabskiego żyje u nas do 20,000 dziewczek i 50,000 „posyłek.“

Wobec takiego położenia i poziom moralny tej klasy jest bardzo niski. Oprócz wysokiej opłaty bowiem za obrzęd ślubny, na bezdroża pchają i same dwory, stawiając najczęściej za warunek umowy najmu, że dziewczka winna być z dzieckiem. Jako środki zaradcze, pani Karczewska żąda radykalnych zmian w całym położeniu pracownic wiejskich przez utworzenie kas emerytalnych, zaprowadzenie reform w małżeństwie, równouprawnienie kobiet, szerzenie wśród nich idei związków zawodowych, a nadewszystko przez zaprowadzenie prawodawstwa ekonomicznego.

#### Wanda Hersówna: Pracownice igły.

Czyż pracownica igły jest rzeczywiście istotą upośledzoną? Jeśli praca jej niedostateczny daje zarobek — to gdzie leży przyczyna?

Zespół pracownic igły jest bardzo niejednolity, a pomiędzy wielką ich ilością mało jest zawodowych szwaczek.

Jedynie szwalnie Towarzystwa Dobroczynności uczą dziewczęta szycia, ale tam przeważnie przygotowują do służby, a nie na zawodowe szwaczki. Istniejące szkoły kroju są niedostępne dla ogółu, gdyż nauka kosztuje około 40-tu rubli.

Celem przeciętnej robotnicy jest oderwanie się od nielubianej roboty. Wiele pozostaje na niższym stanowisku i mało, umiając, zarabia niedostatecznie.

Przeciętnie zdolne, niewykwalifikowane, czynią od 5 rubli pensji miesięcznej i powoli dochodzą do 28-ku rubli. Jedynie wyjątkowo zdolne i lubiące szycie zdobywają lepsze stanowiska.

Jest jedno zło, zło tem smutniejsze, że je za dobrodziejstwo uważać należy — to jest praca nocami, ten grosz zdobyty ujęciem godzin

spoczynku, który jednak odgania widmo nędzy.

Hygiena jest zupełnie zaniedbaną. Brak poczucia czystości, złe odżywianie, przy zmużonej pracy trawi organizm.

Falszywy wstyd uniemożliwia wszelkie zakładanie kuchni, bo niestety, do dziś dnia wstydzą się, że są robotnicami.

Wyzysk bywa zawsze w małych pracowniach bez żadnej kontroli. I wyzyskiwane są dziś pracownice, pomimo pracy agitacyjnej, często tracącej równowagę w żądaniach.

Związki zawodowe jedynie bronić mogą przed wyzyskiem, lecz aby związek miał rację bytu, trzeba aby powstał jako wynik potrzeb robotnic. Na takie, jak dziś jest wyczerpywanie sił kobiecych, zaradzić może tylko ogólny dobrobyt. Dla ogólnej zaś poprawy bytu robotnic, mogą zaradzić tylko szkoły elementarne obowiązkowe miejskie i zawodowe.

Pomimo wielu braków jakie wśród robotnic widzimy, stanowczo są one zdolnymi — i przy lepszych warunkach — w niczem nie ustępowałyby robotnicom Zachodu.

Pracodawca ze swej strony powinien starać się, by pracownice były duże, jasne, przewiewne i czyste. W takiej sali pracować powinna kobieta nie młodsza, niż lat 16-cie, pracować ośm godzin z dwugodzinną przerwą południową. Zaprowadzać kasy oszczędnościowo-pożyczkowe i zapomogowe, dać choćby dwa tygodnie wakacji płatnych.

Boć przecie interesy pracodawcy i pracownic nie są rozbieżne. Dążąc do ogólnego dobrobytu zapewnią i sobie dobrobyt. Inaczej sądzić mogą tylko krótkowidze.

Nie tracić tylko sił na drobne zatargi, a iść ręką w rękę w jasną, choć odległą przyszłość.

#### D-r M. Bornsteinowa: „O prawodawstwie ochronnem a pracy kobiet.“

(Referat odczytany przez d-rą Annę Tomaszewicz-Doborską).

Aczkolwiek zrzeszanie się w związki zawodowe jest najlepszą szkołą uświadczenia klasowego, księgą niejako wskazówek walki z kapitalizmem, jednakże nie jest kompletnem i wymaga nowych uzupełnień. W walce nierównej, a gorącej pracy z kapitałem, zachodzi potrzeba wzniesienia jeszcze muru ochronnego między wyzyskiwaczami a wyzyskiwanymi w postaci zarządzeń państwowych w zakresie prawodawstwa ochronnego.

Pierwsza wstąpiła na tę drogę Anglia, wydając w r. 1802-im znane przepisy prawne, mające na celu ochronę pracy dzieci. Dzisiaj nie tylko już o zmniejszenie godzin pracy dziennej chodzi, ale o zakaz pracy świątecznej, o zniesienie całego szeregu uciążliwych przepisów fabrycznych, będących przeżytkiem czasów dawnych uległości robotnika względem pana, jak np. pracy przez cały dzień w pozycji stojącej, chodzi już o zakaz pracy kobietom w zakładach szkodliwie wpływających na ich zdrowie, jak w niektórych fabrykach chemicznych i kopalniach.

Na tem jednak wyczerpuje się zakres prawodawstwa wspólnego dla mężczyzn i kobiet, ale tu dopiero zaczyna się właściwie prawodawstwo dotyczące kobiet.

Państwową ochronę macierzyństwa zaprowadziła po raz pierwszy Szwajcarya w roku 1877-ym, a następnie Niemcy, gdzie państwo w drodze ubezpieczeń przychodzi z pomocą kobiecie-robotnicy, uwalniając ją na czas ostatnich tygodni ciąży i zabezpieczając zarobki. Szkoda tylko, że prawo to rozciąga się tylko na robotnice fabryczne, z pominięciem całych rzesz kobiet pracujących w handlu, w najemnictwie domowem i t. d.

Wiele w tym względzie dopomóżdzy mogła inspekcja fabryczna, ale w takim tylko razie, jeżeli pełnić jej funkcje będą mężowie zaufania robotników, zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

Następnie autorka wystąpiła z krytyką tych rzekomych zwolenniczek kwestyi kobiecej, które w imię równouprawnienia, odrzucają potrzebę specjalnego prawodawstwa ochronnego dla kobiety. Należy — zdaniem d-ra Bornsteinowej — chronić kobiety przed ich własną odwagą, bo więcej jest w nich odwagi, niż sił.

(Dokończenie nastąpi).

z.



## Wystawa prac artystek polskich

urządzona

podezas Zjazdu kobiet w Warszawie.



Jednocześnie z otwarciem pierwszego Zjazdu kobiet polskich w Warszawie, urządzoną została w salonach naszego Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych wystawa prac artystek polskich. Miała ona za zadanie zgrupowanie jak największej ilości dzieł kobiecych zarówno z zakresu malarstwa, jak też rzeźby oraz sztuk graficznych, ażeby w ten sposób wytworzyć rodzaj systematycznego przeglądu działalności niewieściej na niwie plastycznej. Wobec coraz bardziej zwiększającego się ruchu artystycznego wśród kobiet polskich, wystawa taka była pomysłem nader udanym: szkoda tylko, iż nie wszystkie artystki nasze były reprezentowane; zarówno w dziale retrospektywnym, jak też i pomiędzy pracami współczesnych kobiet polskich, poświęcających się sztuce plastycznej, brakowało dużo nazwisk znanych i zasłużonych w tej dziedzinie. Niemniej jednak, wystawa przedstawiała się bogato i zajmująco.

W dziale retrospektywnym, obejmującym prace nieżyjących już artystek polskich, naczelną miejsce zajmowała nieodżałowana Anna Bilińska. Parę jej prac, znajdujących się na owej wystawie, acz nie najlepszych może z jej dorobku artystycznego, dawało nam jednak jasny dowód, jak wybitnym był talent młodej artystki, której przedwczesna śmierć wyrządziła ciężką krzywdę sztuce polskiej. Bilińska — to jedna z pierwszych artystek-Polek, której imię zasłynęło zaszczytnie po za granicami naszego kraju i przed którą droga do szerszej jeszcze sławy stała otworem; droga ta została jednak tragicznie przecięta nielitościwą kosą śmierci.

Z innych prac nieżyjących artystek polskich, wyróżniały się barwne studia klas Kazanowskiej oraz portrety Dukczyńskiej.

W dziale twórczości kobiet polskich współczesnych prym trzymają prace Olgi Boznańskiej i Zofii Stankiewiczówny. Boznańska dała przedziwny portret dwojga dzieci, owiany subtelną melancholią, pełen smętku i zadumy

z ulubionego, artystce znanego tła wychodzą jakies z mgły utkane czerwone twarzyczki dwojga dzieci, oprzemienione tajemniczym blaskiem jakichs dziwnie głębokich, gorączkowo płonących oczu. Oczy z portretów Boznańskiej, pociągające siłą i skupieniem wewnętrznym, jakimś życiem bardzo skoncentrowanym, a mocnym, długo przesładują widza, jak nierozwiązana, a dziwnie zajmująca zagadka. Artystka nie rozprasza się na szczegóły, a całą siłę wyrazu w portretach swych przenosi na oczy, które zdają się żyć, mówić i koncentrować w sobie całą istotę psychiczną przedstawianej jednostki. Te bajeczne oczy stanowią też charakterystyczną cechę, po której bez podpisu poznaje się prace znakomitej artystki naszej, zawsze bardzo szlachetnej i subtelnej w sposobie plastycznego wypowiedzenia się.

Zofia Stankiewiczówna, jedna z głównych inicjatorek jubileuszowej wystawy, przedstawiła tu sporo prac zajmujących, które chociaż były już znane uprzednio, nie straciły jednak swej siły pociągającej. Z wielką prawdą i plastyką rysują się przed oczami widza szafirowe, zawrotne głębie Czarnego Stawu w Tatrach, gdzie niejednokrotnie artystka czerpała motywy do swych pełnych zdrowej energii krajobrazów. Z pejzaży Stankiewiczówny wieje często powiew świeżo, a orzeźwiający, dziwnie energiczny i daleki od kobiecego sentymentalizmu. Miała jednak artystka na ostatniej wystawie parę prac, owianych szczerą melancholią i jakąś tajemniczą zadumą; do takich należały przesliczna „Legenda,” gdzie na tle malowniczych ruin opustoszałego zamczyska snuje się szereg tajemniczych mar, osrebrzonych słabym blaskiem księżycy. W dziele tem Stankiewiczówna ze zwykłego realistycznego traktowania tematu przerzuciła się w zaczarowaną krainę zaświatowej, widmowej poezyi, której urok uchwyciła z talentem niezrównanym.

Różnostronność talentu swego przejawiała artystka też w bardzo ciekawych pracach graficznych, akwafortach i akwatintach.

W dziale grafiki wyróżniały się ogromnie artystyczne monotypie p. Antoniny Duninówny, szereg portretów i studyów zarówno olejnych, jak i rysunkowych tejże artystki.

Pokaźne miejsce zajmowały płótna p. Aliny Grabowskiej, młodej artystki, zdradzającej istotne uzdolnienie malarskie. Maluje ona ze śmiałością i werwą prawdziwą, przejawiającą się zarówno w pewności rysunku, jak też i w czystości i sile kolorytu. Jej studya głów mają dużo życia i wyrazu, kwiaty są traktowane barwnie i świeżo, a kompozycja pejzażowa „Jesień” posiada dużo dekoracyjności i poczucia kolorytu, słowem prace p. Grabowskiej noszą cechy młodego, bardzo obiecującego talentu.

Zajmująco przedstawiały się też studya p. Płonowskiej, uczennicy warszawskiej Szkoły sztuk pięknych, po raz pierwszy tutaj probującej sił swych, na szerszej arenie artystycznej. Jej „Motywy z klasztoru w Kazimierzu” są bardzo harmonijne i powietrzne w tonie, „Głowa cygana” traktowana śmiało i z dużą brawurą techniczną.

Z dużą kolekcją zajmujących studyów wystąpiła też p. Rychter Janowska; po za tem widzieliśmy prace pp. Siedleckiej, Kanigowskiej, Komorowskiej, Pająkówny, Wiesiłowskiej, Koźniewskiej (bardzo dobre portrety), Czajkowskiej i wielu innych.

W dziale rzeźby prym trzymały prace p. Gerson-Dąbrowskiej. Próby różnych autorek z zakresu kompozycji dekoracyjnej, znajdujące się na wystawie jubileuszowej, głębszego interesu nie mogły obudzić; robiły one bowiem wrażenie jakichs ćwiczeń uczniowskich, a nie samodzielnej twórczej pracy na polu zdobnictwa artystycznego.

Jednocześnie z wystawą prac artystek polskich, jedna z sal w Zachęcie zajęta została

przez najnowsze studya profesora Leona Wyczółkowskiego. Wybitny talent artysty jest znanym ciekawym zjawiskiem w sztuce naszej, aby można było pominąć milczeniem jakąś grupę jego prac, chociażby nosiły one na sobie, tak jak ostatnie, cechę pewnej dorywczości: przedstawiały się one bowiem bardziej jako szereg studyów przygotowawczych i bezpośrednich notatek z natury, mających posłużyć jako materiał do większych, szerszej pomysłanych płócien. I w tych notatkach i studyach jednak znać lwie pazury mistrza, co igrać się zdaje z najtrudniejszymi efektami kolorytu, olśniewa bajecznymi zestawieniami barw i zadziwia błyskotliwością swej niezrównanej techniki.

Najciekawsze są tu studya kwiatów, w których odtwarzaniu celuje prof. Wyczółkowski. Jego róże mają niezrównaną świeżość nieotrząśniętych jeszcze z porannej rosy tylko co rozkwitłych kwiatów o dziwnie głębokim, a czystym tonie aksamitnych płatków; barwa zdaje się drgać życiem i promieniować ze studyów artysty. Piękne bardzo były też paneaux z róż oraz projekty na dekoracje ściennie. Wystawione ostatnio akty kobiece, malowane olejno, do mniej szczęśliwych prac Wyczółkowskiego zaliczyć należy, cechuje je bowiem pewna konwencyonalność, nie spotykana w innych studyach tak zwykle brawurowego i olśniewającego swym rozmachem artysty.

Z. Skorobohata-Stankiewiczówna.



## Sztuka i literatura zagraniczna.



\* Świeżo wystawiono w Berlinie udramatyzowaną przez p. Metz-Schillbacha przeróbkę znanej bardzo powieści Małgorzaty Böhme: „Das Tagebuch der verlorenen.“ Przeróbka ta na początku roku bieżącego była przedmiotem ciekawego sporu literackiego. Pan Metz-Schillbach przerobił powieść na scenę bez zapytania pani Böhme o pozwolenie. Sztuka miała być wystawiona w Hanowerze, lecz cenzura, ze względów przyzwoitości, wystawienia zabroniła. Pomimo to, pierwsze przedstawienie się odbyło; jednocześnie wszakże p. Böhme zaprotestowała, że sztuka przerobiona została bez jej zezwolenia i sprawa oparła się o sąd. obrońca p. Metz-Schillbacha powoływał się na to, że pani Böhme pozwolenie nie było potrzebne, ponieważ sama ogłaszała, że powieść, jako powtórzona z prawdziwego zdarzenia, nie jest jej własnością; zaś przeróbka wzięła z powieści tylko nagie fakty, odrzucając formę przez panią Böhme nadaną. Ostatecznie przyszło do zgody i sztuka, jako premiera, wystawiona została obecnie w Central-Theater w Berlinie. Powieść znaną jest w bardzo szerokich kołach czytelników, przeto treści jej przytaczać nie potrzebujemy. Dodać tylko możemy za krytykami gazet niemieckich, że przeróbka okazała się niezbyt udolną. Publiczność z wielkiem zainteresowaniem oczekiwała na scenie przedstawienia losów ulubionej bohaterki. Przeróbka jest szablonowa; znane postacie, z Thymian na czele, ruszają się jak manekiny; sytuacje szorstkie, pozbawione poezyi, jaką tchnął w nie talent Małgorzaty Böhme. Dwa pierwsze akty są stosunkowo najrzęczniejsze, pewne wrażenie nawet wywiera scena w domu apteka-

rza Gottebala, który odkrył tajemnicę swojej córki. Dalsze jednak są zupełnie nieudolne. Publiczność wychodziła z teatru z niesmakiem i żalem do autora, że zepsuł wrażenie ulubionej powieści.

\* Przed niedawnem wystawiono w Neapolu w tearze Fiorentini po raz pierwszy sztukę A. E. Butti, p. t. „O nic.” Helena Guadi ma chorego umysłowo męża, który od lat 12-u jest w domu obłąkanych. Z małżeństwa tego zrodził się syn, Alberico, lekkomyślny chłopiec, który czas swój marnuje na miłośkach i grze w karty. Helena poznaje Roberta Dameo, człowieka szlachetnego, który ją pokochał, nawzajem od niej kochany. Lecz niema odwagi otwarcie do miłości się przyznać, gdyż na drodze jej stoi obowiązek, obłąkany mąż, a właściwie „nic.” Błaga Roberta, ażeby wpłynął na syna jej i spróbował skierować go na właściwą drogę; następuje pomiędzy nimi silna utarczka. Alberico zabrania mu mieszać się do spraw nieswoich i robi mu wyrzut, że ukradł miłość Heleny jej mężowi. Roberto w uniesieniu policzkuje młodego człowieka. Pojedynek jest nieunikniony. Helena zrozumiała nagle, że jej miłość dla zwyrodniałego syna zgasła od dawna i że kocha tylko Roberta. Czując jednak, że ze względu na syna musi się wyrzec miłości swojej, znów „dla niczego” depece szczęście swoje i Roberta. Sztuka miała duże powodzenie.

\* Tenże dramaturg włoski Bussi, napisał dwie nowe sztuki, które wystawione będą w nadchodzącym sezonie w Rzymie i Neapolu. Jedna: „Il paese della Fortuna” rozegrywa się w Monte-Carlo; pierwszy akt przedstawia przedsiónek Kasyna; druga sztuka — to trzyaktowy dramat obyczajowy, patologiczny: „L'eterno Dolore.”

\* Jak donosi „Giornale d'Italia” Puccini komponuje dwie nowe opery. Jedna ma za treść tragiczne losy Maryi Antoniny; druga zaś życie kalifornijskich kopaczy złota.

\* We Frankfurcie nad Menem odnaleziono u pewnej rodziny, w prywatnym posiadaniu, jeden z piękniejszych obrazów Böcklina, ukradziony w roku 1903-im z muzeum w Weimarze. Obraz przedstawia pejzaż i kobietę w świetle księżycy. Człowiek, który go ukradł (dziś już nie żyje), sprzedał go, jak się okazało, za 1000 marek; potem na licytacji kupiono za 12,000; wreszcie rodzina frankfurcka kupiła go za 20,000, — obecnie wart jest 65,000 marek.

\* W Sztokholmie, wraz z nadchodzącym sezonem jesiennym otwarty będzie, dziesiąty z rzędu teatr, poświęcony specjalnie sztukom Strindberga. W ostatnich czasach znakomity poeta ukończył cztery nowe dzieła, które wystawione już będą w jego teatrze; tytuły dwóch dramatów są: „Burza” i „Pelikan.”

\* Wspominaliśmy w swoim czasie, że Rostand napisał sztukę p. t. „Chanteclair,” ze względów technicznych bardzo trudną do wystawienia i że Coquelin starszy pragnie za jakąbądź cenę uczynić ją możliwą do grania. Obecnie Coquelin wraz z autorem tak sztukę przygotowali, że będzie wystawiona w jesieni i oczekiwana jest z niecierpliwością przez Paryżan.

## Zapomniana instytucja.



Na miano to zasługuje istniejące piąty rok w mieście naszym „Warszawskie Chrześcijańskie Towarzystwo Ochrony Kobiet.“

Instytucja ta, pomimo swej wielkiej użyteczności, nie mogła doczekać się należnego uznania, na jakie ze wszech miar zasługuje, gdyż dotychczas zgrupowała niewielką liczbę członków, bo liczącą zaledwie 216 osób, w liczbie tej mieści się członków honorowych 4-ch, rzeczywistych (płacących rocznej składki rubli 5)—154-ch i czynnych 58-iu. Utrzymać się więc musi z nader małych funduszy, że rozwija jednak swą pożyteczną działalność, zawdzięczać to może poparciu szlachetnej jednostki (prezesa Towarzystwa hr. Gustawa Przeździeckiego), który nie tylko ofiarował bezinteresownie obszerny lokal na biura Zarządu i Schronisko, największe z istniejących, ale przychylnia się do utrzymania instytucji znacznymi środkami materyalnemi.

Celem Towarzystwa jest: 1) Opieka nad małoletniemi; 2) Dostarczanie pracy kobietom bez zajęcia; 3) Ochrona młodych podróżnych; 4) Przeciwdziałanie handlowi żywym towarem; 5) Ochrona w szpitalach; 6) Ochrona w słowie i druku; 7) Ułatwianie poprawy upadłym; 8) Ogniska domowe i 9) Sale rozrywek i zajęć (ostatniego wydziału pomimo zatwierdzonego regulaminu, brak funduszy nie pozwolił wprowadzić dotychczas w życie).

Sądymy, że nie obojętne będą dla czytelników naszego pisma kilka cyfr z działalności Towarzystwa. Przytaczamy je w streszczeniu z ostatniego sprawozdania.

Pod opieką instytucji w roku zeszłym było 69 małoletnich dziewcząt, w wieku od lat 4-ch do 15-tu, z liczby tej 60 zostawało pod opieką Towarzystwa, a ośm umieszczono w odpowiednich zakładach, w celu nauczania ich szycia, gotowania i t. p. zajęć gospodarskich, jedną zaś, głuchoniemą umieszczono w Instytucji głuchoniemych i ociemniałych.

Wydział drugi umieścił w roku sprawozdawczym 218 osób, a mianowicie: nauczycielek 2, ochroniarke 1, dozoreczny chorych 2, bon do dzieci 20, sklepową 1, krawcową 1, szwaczek 65, kufciarek 2, cerowaczek 2, gospodyń 14, kucharek 29, służących do wszystkiego 35, nianiek 8, praczkę 1, posługaczek 8.

Wydział ochrony młodych podróżnych udzielił wskazówek i pomocy dwóm młodym podróżnym, jadącym jedna do Genewy, druga do Paryża, które otrzymały rekomendacje do towarzystw zagranicznych, legalizowane w odpowiednich konsulatach. Przyjezdnych było trzy, z których jedną umieszczono na służbie, drugą, poddaną perską z Urmii, zwróconą z drogi przez Komisję sanitarną amerykańską odesłano do konsulatu perskiego w Odesie, trzecią młodą panienkę, dotkniętą kalectwem, przybyłą do Warszawy w celu poddania się operacji, po szczęśliwym dokonaniu takowej, odesłano do domu uzdrowioną i zdolną do pracy.

Trzy razy zwracano się do Towarzystwa z prośbą o pomoc w odszukaniu zaginionych dziewcząt.

Jedną z nich przy pomocy władz odszukano, dwie zaś zginęły podczas rozruchów ulicznych, jedna w Kijowie, druga w Warszawie.

Wydział ochrony w szpitalach nie był czynny z powodu braku osób, chcących zająć się wizytowaniem chorych w szpitalach, z tego powodu tylko dwie młode chore korzystały z pomocy Towarzystwa, umieszczono je w odpowiednich zakładach.

Ochrona w słowie i druku ma na celu szerzenie idei Towarzystwa.

Ułatwianie pracy upadłym. W roku zeszłym umieszczono 17 dziewcząt tej katego-

ryi w zakładzie św. Małgorzaty w Piasecznie, trzy zaś w zakładzie św. Józefa w Derdach (ostatnie bezpłatnie).

W dwu Schronieniach czasowych, istniejących przy Towarzystwie, przebywało razem pensyonarek 278, mianowicie w Schronieniu św. Anny 175 (dni instytucyjnych 4,516), gdzie koszt utrzymania zupełnego wynosił kop. 56<sup>1</sup>/<sub>2</sub> dziennie i w Schronieniu dla ewangeliczek 103 (dni instytucyjnych 927), a dzień instytucyjowy wynosił kop. 49<sup>2</sup>/<sub>5</sub>.

W ogniskach domowych, których Towarzystwo utrzymuje w naszym mieście trzy dla katoliczek i jedno dla ewangeliczek było ogółem pensyonarek 770, które przebyły dni instytucyjnych 23,230—koszt utrzymania wynosił rubli 14,427 kop. 65.

Staraniem jednej z członkiń urządzono gwiazdkę dla 60-ga dzieci, z których każde dostało nową sukienkę, resztę z zebranego na ten cel funduszu przeznaczono na wpisy dla niezamożnych uczennic szkół prywatnych.

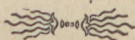
Towarzystwo w roku zeszłym opiekowało się dwiema młodemi kobietami z dziećmi, z tych jedna, wykwalifikowana nauczycielka muzyki, znalazła lekcyę, dającą jej dostateczne utrzymanie wraz z dzieckiem, drugą, chorą nieuleczalnie, umieszczono w szpitalu, dziecko zaś w odpowiednim schronieniu.

Choć skromną była działalność Towarzystwa w roku sprawozdawczym, jednak, jak widać z przytoczonych cyfr, udzieliło ono pomocy 1,370-ciu osobom, działalność instytucji była więc owocną. Gdyby nie ciągle łamanie się z brakiem funduszy, wyniki byłyby o wiele poważniejsze.

Jedną z przeszkód, stojących na zawadzie rozwojowi Towarzystwa jest błędne zrozumienie nazwy i celów Towarzystwa (o czem obszernie w piśmie naszym pisała niedawno p. Prażmowska). Instytucja związana została i istnieje w celu *ochrony*, nie *poprawy* kobiet, poprawa kobiet jest tylko jednym z licznych wydziałów Towarzystwa. Gdy uprzedzenie to zniknie, mamy nadzieję, iż zwiększy się ruch w wydziale dostarczania pracy, który rekomenduje tylko pracownice w zupełności zasługujące na tego rodzaju pomoc i sprawdzone przez członkinię Towarzystwa.

Ap. Ol—ski.

(Honorarium za powyższy artykuł w sumie rubli 3 kop. 90, przeznaczono na cele „Warszawskiego Chrześcijańskiego Towarzystwa Ochrony kobiet“). Wielce pożądanym jest liczniejszy napływ członków, opłata roczna jest tak mała, a pożytek z instytucji—wielki.



## Chwila bieżąca.



— „Stolicznoe Utro“ donosi, iż ministeryum oświaty rozpatruje projekt dopuszczenia kobiet do uniwersytetów. Uznano za nieodpowiednie przyjmowanie wolnych słuchaczek, zdaniem zaś niektórych profesorów, [można przyjmować studentki zwyczajne.

— W sprawie gaszenia latarek iluminacyjnych zapadł wyrok administracyjny, skazujący 30 osób na trzy miesiące więzienia, jedną osobę uwolniono, co do reszty, nie wzięto jeszcze decyzji.

— Organizacyi bojowej P. P. S. przypisują cały szereg terrorystycznych zamachów. Aresztowano w tej sprawie 67 osób i sądzono w tych dniach, powołano świadków 117. Organizacja bojowa dokonać miała napadu na kasyera kolei skarbowych, połączonego z odebraniem 6.000 rubli; napady na pociągi pod Otwockiem i Pruszkowem, połączone z grabieżą rubli 12,000 i 180,000; napadu na kasyera komory celnej pod Herbami i zrabowanie 15,000 rubli; zamachu na inżyniera Proskuryakowa, zabójstwa pomocnika komisarza Konstantinowa, zamachu na pułkownika Muradowa, zamachu na pomocnika generał-gubernatora Margrafskiego, zamachu na tymczasowego generał-gubernatora wojennego Wonlalarskiego, zamachu na prezesa

warszawskiego sądu wojennego Doroszewskiego, pogromu sklepów monopolowych dnia 9-go Czerwca r. z., napadu masowego na policję w dniu „krwawej środy“ i wielu innych. Oskarżenie głosiło, iż organizacja bojowa posiadała składy broni, środki pieniężne, fałszywe paszporty, plany miejscowości, przepisy do przygotowywania pocisków wybuchowych i t. d. Wyrokiem sądu skazano na śmierć przez powieszenie Kazimierza Białoruckiego, za udział w zamachu na inżyniera Proskuryakowa, 25-iu oskarżonych na ciężkie roboty, w tej liczbie kobietę, Urbanównę, na lat 5, na pozostałych oskarżonych, w liczbie 41, wyroku dotychczas nie wydano.

— Zabójstwa partyjne w Łodzi nie tylko nie ustają, lecz ciągle się powiększają, nie oszczędzając kobiet, a nawet i dzieci. Dnia 6-go b. m. na Księżym-młynie postrzelono trzech chłopców, w wieku lat 10, 8 i 9. Tego samego dnia wieczorem na Bałutach, do mieszkania Antoniny Włodarskiej, weszło trzech młodych ludzi w chwili, gdy znajdowały się w pokoju jej córki: 16-letnia Wanda, 14-letnia Marya, oraz ich koleżanka, 20-letnia Helena Michalska. Na kobiety posypały się strzały, raniąc je śmiertelnie.

— Iż prasa nielegalna wzrasta w stosunku do represji cenzury, przekonywa raport ministra sprawiedliwości. W latach 1895—1897 wykryto trzy tajne drukarnie: w Warszawie, Łochcie i Nowogrodzie. W r. 1898-ym wykryto cztery, a w roku 1900-ym aż ośm drukarni tajnych, rozpowszechniano dwadzieścia pism nielegalnych, wydano 60 broszur i 153 odezwy.

— Dzienniki niemieckie powtarzają uparcie o złożeniu na konferencji w Hadze przez grupę „narodowców polskich“ memoriału z żądaniem, nie odpowiadającemi rzeczywistości. Memoriał jest fałszyfikatem lub prowokacją, działającą, jak zawsze, na naszą szkodę.

— Wizycie króla Edwarda i jego spotkaniu z cesarzem Wilhelmem w Wilhelmshöhe przypisują znaczenie polityczne; zaś widzenie się z cesarzem Franciszkiem Józefem w Ischlu, ma mieć charakter prywatny, dlatego zaniechano tam wszelkich toastów.

— „Vossische Zeit.“ donosi, iż rząd Rzeszy niemieckiej złożył parlamentowi ustawę, określającą maksymalny dzień roboczy dla kobiet, które nie będą pracowały dłużej, nad 10 godzin.

— Ubył znów jeden ze starszych malarzy w Warszawie ś. p. Leon Biedroński. Poświęcał się malarstwu religijnemu i krajobrazowemu. Żył lat 73.

— W Krakowie zakończył życie ś. p. Karol Potkański, profesor wszechnicy Jagiellońskiej, przeżywszy lat 45. Ogłosił drukiem: „Zapiski herbowe z ksiąg ziemskich“, „Władyczne rycerstwo i zagrodowa szlachta w w. XIV-ym i XV-ym“, „Postrzyżyny u Słowian i Germanów“, „Kraków przed Piastami“, „Lechowie i Lechici“ i inne.

— W Berlinie zmarł znakomity skrzypek, Józef Joachim, w wieku lat 74.

### Treść numeru:

Wczoraj i dziś, przez Z. Bielicką. — Pieśń o doli (wiersz), przez Stefanię Podhorską-Okołow. — Chwila (obrazek), przez Mariona (dokończenie). — Franciszek Dyonizy Kniaźnin (w setną rocznicę zgonu pieśniarza-patrioty), przez T. K. — Szkoła zdrowia w Kosowie, przez Eugenję Dobrzańską. — Co słyszą powiernicy, przez St. Poraja. — Giuseppe Garibaldi, kartki z pamiętnika (ciąg dalszy). — Z papierów mojej babki: Dom rodzicielski, przez Ew. Ba. — Zjazd kobiet polskich. — Wystawa prac artystek polskich urządzona podczas Zjazdu kobiet w Warszawie, przez Z. Skorobohatą-Stankiewicz. — Sztuka i literatura zagraniczna, przez m. l. — Chwila bieżąca. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 13-ty powieści Piotra Loti'ego z życia współczesnych haremów tureckich, p. t. „Rozczarowane“, w przekładzie M. Łaganowskiej.

Dodatek: Opisy ubiorów i robót z rycinami.



## Kursa wyższe dla Kobiet

im. A. Baranieckiego

istniejące od roku 1868

z trzema wydziałami: literackim, przyrodniczym i artystycznym.

Początek roku po raz trzeci nie od 15-go ale od 1-go października.

Programy przesyła za zwrotem tylko kosztów pocztowych księgarnia W-go Gebethnera w Warszawie. Korespondencje kursów załatwia sekretarka H. Tomaszewska w Krakowie, ulica Karmelicka L. 36.

Dyrektor Józef Rostafiński.

## MOZAJKI artystycznej i INTARSYI KURSY I PRACOWNIA WSPÓLNA 47<sup>A</sup> m. 3.

Pracownia przyjmuje obstalunki z zakresu meblarstwa, dekoracji ściennej i galanterii.

Kurs roczny obejmuje mozaikę drzewną, metalowe z kości słoniowej, perłowej masy i szyldkretu.

3 Medale Złote

## Niema zimnych i wilgotnych mieszkań

jeśli obsadzić w piecu

### MULTYPLIKATOR OGRZEWANIA

Pat. Gasselseder & Niemcecz i Klobukowski

ogrzewa pokój w 30 min. do samej podłogi, OSZCZĘDZA do 50% opalu

PIECE ŻELAZNE MULTYPLIKATOROWE nie wydzielają smędu, utrzymują ciepło 8 g. po napaleniu

Pochlebne zaświadczenia, prospekty i cenniki mult. wysyła się na żądanie

Tel. 1502. Biuro Techniczne Dr. W. P. KŁOBUKOWSKI, inż. chem. Al. Jerozol. 71

# SANATOGEN



Wszystkim osłabionym, wycieńczonym,

zdeenerowanym i pozbawionym energii życiowej przywraca siły i chęć do życia

## SANATOGEN BAUERA

Pochlebne opinie więcej niż 3600 lekarzy i profesorów. Dostać można we wszystkich aptekach i składach aptecznych. Wystrzegać się bezwartościowych naśladownictw. Prawdziwy tylko w opakowaniu rosyjskim.

Broszury gratis i franco wysyła S. KARCZEWSKI, Warszawa, Nowo-Senatorska 4.

## Zakład Naukowy Mężki Karola Schulza

w Warszawie, ulica Ś-tej Barbary № 10.

Przyjmuje chłopców od lat 7-miu bez umiejętności czytania i pisania i przysposabia ich do wszystkich średnich zakładów naukowych.

Szkoła posiada najnowsze pomoce naukowe i kładzie główny nacisk na pogłębienie w nauczaniu.

Przy szkole znajduje się bogate muzeum szkolne, zawierające przeszło 10,000 okazów do pogłębionego nauczania, które zwiedzać mogą wszyscy, interesujący się wychowaniem młodzieży.

W internacie szkolnym jest kilka wolnych miejsc.

Zapisy przyjmuje się codziennie od 9-ej do 3-ej.

Lekcje rozpoczynają się 4 września.

## 7-kl. Zakład Naukowy Żeński Antoniny Walickiej 44. KRUCZA 44.

Przytem szkoła początkowa zastępująca klasę podwstępną. Zapis od 20-go sierpnia od 11-ej do 1-ej. Egzamina wstępne 2-go i 3-go września o godzinie 10-ej rano. Rok szkolny rozpoczyna się 4 września.

W VII-klasowym z językiem wykładowym polskim zakładzie naukowo wychowawczym żeńskim z pensjonatem i klasą wstępną

## ANNY JASIEŃSKIEJ

Warszawa, ul. Hr. Berga 8.

Zapis uczennic rozpoczyna się 20-go sierpnia. Kurs nauk 5-go września  
Egzaminy wstępne 3-go i 4-go.

## SZKOŁA męska prywatna i stancja dla uczniów B. Muszyńskiego

w Warszawie, ul. Nowowiełka № 27b,

(Vis-à-vis Dworca Wiedeńskiego).

Przyjmuje się chłopców od lat 7, nie umiejących nic i z początkami. Zapis codziennie od 10—12 i od 2—6. Lokal znacznie rozszerzony i do wymagań higieny zastosowany mieści się na 1-em piętrze. Słójd i gimnastyka obowiązkowe w specjalnie na ten cel urządzonej sali. Lekcje 5 Września.— Chłopców przysposabia się do wszystkich średnich zakładów naukowych w zakresie pierwszych 4-ch klas.

## Zakład Naukowy Natalii Porazińskiej żeński VI klasowy

w Warszawie, Plac Ś-go Aleksandra 18.

Wykłady najlepszych sił nauczycielskich.—Konwersacya w obcych językach.— W klasach 5-tej i 6-tej nauka buchalteryi. Świadectwo z ukończenia 6-ku klas daje wstęp na wyższe Kursy pedagogiczne. Lekcje od 5-go Września.

## Zakłady Naukowe R. Kowalskiego

- 1) Średnia szkoła filologiczna z klasą wstępną i podwstępną. Lepsi uczniowie mogą być zwolnieni od wpisu. Kandydaci przy zapisie winni przedstawić metrykę urodzenia i świadectwo szczeniowej ospy. Egzamina rozpoczyna się 27 sierpnia.
- 2) Niedzielno-kupiecka szkoła 4-ro klasowa z klasą wstępną. Wykładane są: buchalterya, korespondencya kupiecka w 3 językach, kupiecka arytmetyka i geografia, prawo handlowe.
- 3) Kursy wieczorne 4-ro klasowe z wykładami: Religii, języka polskiego, rosyjskiego i niemieckiego, arytmetyki, geometrii, historii, geografii, nauk przyrodniczych, rysunków, kreślenia i kaligrafii.
- 4) Przygotowawcze kursy nauczycielskie (nauczycieli ludowych), do których są przyjmowani kandydaci, posiadający wiadomości przynajmniej w zakresie szkoły elementarnej.

Chmielna 16.

## LIST OTWARTY do p. Plato v. Reussnera w Warszawie, Złota 6.

Ucząc się niemieckiego języka, próbowałem rozmaitych podręczników i nauczycieli, ale rezultaty nauki były marne, prawie żadne. Dopiero z porady nauczyciela, p. Tews, rozpocząłem na nowo naukę przy pomocy Pańskiego „Samouczka“, z którego nauczyłem się po niemiecku, a potem po angielsku nadzwyczaj łatwo i prędko. Dzięki więc znajomości niemieckiego i angielskiego języka, dostałem tu w Ameryce, bardzo korzystne zajęcie, o jakie się napróżno kuśszą moi koledzy, nieumiejący tych dwóch języków. Wydatek na książki zwrócił mi się z tysiącnym procentem. Zatem uważam „Samouczek“ Pański za najlepszy podręcznik w Europie i Ameryce, który cenię tysiąc razy wyżej, niż złoto i brylanty, bo te może łatwo ukraść złodziej, a „Samouczek“ i wiadomość z niego nabyta jest niewyczerpanem źródłem skar-bów bezpiecznych przed złodziejami i rabusiami.

LEOPOLD KUZWA.

Toledo, Ohio, 224 Colburn-Str., Ameryka Póln. Dnia 16-go Lipca 1905 r.

## Pensjonat

Emilii Pankiewicz

dla kilku kształcących się pańien w zakładach lub prywatnie.

Hortensya I, m. 2, od 4-6.

Kaucyonowane

BIURO NAUCZYCIELSKIE

Wandy Rościszewskiej

Warszawa, Bracka 23,

Łódź, Przejazd 14.

Poleca Nauczycieli, Nauczycielki, Freblów-ki, Bony różnych narodowości.

## Pierwszorzędne Biuro Nauczycielskie KARPIŃSKIEJ

POLECA: nauczycieli, nauczycielki, bony francuzki, niemki, angielski.

Warszawa, Moniuszki 7.

## POLSKA KUCHNIA i SPIŻARNIA

ulożyła

Jadwiga Izdebska

1550

Przepisów  
Kuchennych i  
Gospodarskich  
Dyspozycye  
Obiadów  
Potrawy jarskie  
Pieczenie ciast

Ze 114 rysunkami w tekście.

Cena rb. 1.50; w opr. 1.80 i 2  
(Porto 30 kop.).

Wydawnictwo M. ARCTA

w Warszawie, Nowy Świat 53.

## Kursy pedagogiczno-freblowskie

ze słójdem, gimnastyką i rysunkami dla nauczycielek i bon

JADWIGI BOROWSKIEJ

Wspólna 20.

Pensjonat. Po ukończeniu świadectwa, posady, lekcye. Zapisy 27 sierpnia.